

**Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama
Próchnika w Warszawie**

**MIĘDZYSZKOLNY KONKURS
LITERACKI I PLASTYCZNY
„JA – ZWIERZĘ”**

Warszawa 2021

Wydawca:

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika
ul. Stefanii Sempołowskiej 4
00-574 Warszawa

Wstęp:

Krystyna Inowolska

Opracowanie techniczne:

Monika Bednarska

Zrozumieć drugą istotę – trudny pies.

Tematem naszego kolejnego konkursu jest oczywiście zrozumienie drugiej istoty. Wymyśliłam to, ponieważ mam trudnego psa.

Wy oczywiście możecie pisać o dowolnych zwierzętach.

Przez całe życie miałam psy. Od kilku lat trzy jednocześnie. Gdy jeden umierał, jechaliśmy do schroniska i kolejnemu dawaliśmy dom. Tak się też stało i tym razem. Poprzednie psy szybko się do nas przyzwyczajały, nie były agresywne, na spacerach mogły biegać swobodnie.

Nikoś, malutki, bo zaledwie dziesięciokilowy kundelek, wprowadził nową jakość. Rzuca się na inne psy, czasem na ludzi, głównie biegaczy. Na spacerach musi być w kagańcu. A i w domu zdarzało mu się próbować ugryźć gościa, a nawet kogoś z nas. Co gorsza, robił to bez ostrzeżenia.

Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy się go nauczyć, poznać, zrozumieć.

Wiedzieliśmy, że dwa razy wracał do schroniska. Teraz wiem, że tylko miłość może zmienić jego zachowanie, że trzeba szanować jego przyzwyczajenia, ale przede wszystkim zrozumieć i zaakceptować jego lęki. A boi się często. Wtedy pomaga głaskanie, mówienie spokojnym głosem. Dojście do takich wniosków zajęło nam trochę czasu, ale warto było. Nikoś wie, że ma dom, że nikt nie zrobi mu krzywdy, że jest kochany i on nas kocha. A jak mu się coś nie podoba, to warczy. Nawet nie wiecie, jakie to jest osiągnięcie.

Tym razem postanowiłam do wstępu dołączyć polecenie, jakie wymyśliłam w tym roku. Nikoś na to zasługuje. Poza tym bardzo się cieszę, że temat Wam się spodobał i napłynęło bardzo dużo prac. Nie ukrywam, że miałam problem, żeby z bardzo dobrych tekstów wybrać te najlepsze. Na szczęście nie tylko ja o tym decydowałam.

Teraz trochę prywaty. Wzruszyłam się opowiadaniem o śwince. Może dzięki Wam zwierzęta przestaną być traktowane jak mięso.

Zaimponowała mi też autorka, która napisała wprost, że się ze mną nie zgadza. Masz rację, to nie psy są trudne, tylko ludzie w ten sposób usprawiedliwiają swój brak wytrwałości. Jeszcze raz bardzo dziękuję za mądre i pełne empatii teksty.

Krystyna Inowolska

I miejsce

Agnieszka Warno

Szkoła Podstawowa nr 323 w Warszawie

Zwierzę nr 14, gdy spojrzało w dół, zobaczyło parę swoich krótkich nóg o różowo - szarym kolorze. Przyprószone były jasnymi włoskami, które przypominały pajęczę nici jarzące się w brzasku porannego słońca. Racice stały w brudnej kałuży, z której na świnkę spoglądały iskrzące się oczy osadzone w zgrabnej czaszce o śmiesznym ryjku i odstających uszach. Gdy prosiaczek oderwał wzrok od odbicia i popatrzył w dal, ujrzał nieopodal inne zwierzę. Miało ono długi pysk o perłowym blasku. Z otwartej paszczy błyskały groźnie dwa spiczaste kły. Pokryty miękką jakby kaszmirową sierścią tułów zakończony był ruchliwym ogonem. Psa głąskał i zasypywał mnóstwem przesłodzonych słów ich wspólny właściciel. Następnie podszedł do świnki i bez słowa dołął jej wody do poidła.

Też bym chciała żeby ktoś mnie tak pogłąskał. Pan się do mnie nawet się nie zbliża i nigdy mnie nie dotknął- pomyślało różowe zwierzątko- tak bardzo chciałabym mieć taką wspaniałą sierść jak ona. Pewnie wtedy by się mnie przyjemniej głąskało. Pan tak życzliwie mówi do Belli i martwi się, żeby Bella miała wystarczająco dużo gryzaków.

Bella, w przeciwieństwie do prosiaczka, miała imię. Miała ona również aksamitne posłanie tuż obok kominka w domu rodziny oraz nieograniczoną wolność. Mogła każdego dnia i o każdej porze wyjść poza ogrodzenie, a świnka od zawsze zamknięta była w ciasnej klatce ze stalowymi prętami, których chłód i nieugiętość znała od urodzenia. Stanowiły one przeszkodę dla zaspokojenia odwiecznego pragnienia świnki, by poczuć ciepło bursztynowych promieni słonecznych na swej skórze oraz by przekonać się, jak wygląda obszerny świat otaczający przeżarte rdzą więzienie.

Świnka nie znała nikogo ze swojej rodziny. Jej starsze siostry zniknęły bez śladu w czeluściach ciężarówki, która co jakiś czas przyjeżdżała i zabierała prosiaczki, które nigdy nie wracały. Zwierzęta wywożono w wieku ośmiu miesięcy.

Zmęczone słońce rozrzucalo już na nieboskłonie szkarłatne, jakby zatopione w krwi włosy, gdy bladeść podwórkowego żwiru zmącił cień córki gospodarza.

- Tato! Tato! W szkole mamy taką akcję dla schroniska dla psów, że można przynieść zabawki, koce i gazety! Weźmiemy w niej udział, prawda?- zawołała rozentuzjasmowana dziewczynka.

- Pewnie, że tak! Trzeba pomagać biednym, bezdomnym psom. A teraz chodźmy na obiad! Ja z mamą przygotowaliśmy pyszny schab.

Następnego dnia przy gospodarstwie pojawił się znajomy pojazd. Świnkę razem z paroma innymi załadowano do ciężarówki i po chwili ruszyła. Po długiej podróży wreszcie zatrzymała się. Świnie zaprowadzono do ogromnego budynku przepełnionego żalonym zawrodeniem i metalicznym hukiem maszyn. Prosiaczek został położony na jednym z przygotowanych

stanowisk. Podszedł do niego jakiś mężczyzna w białym fartuchy gęsto pokrytym świeżą krwią. Wyjął jakieś urządzenie i przyłożył je do różowego ciała. Świnę przeszył ból.

Tak zakończył się żywot prosiaczka, którego, zdaniem ludzi, jedynym celem życia było zaspokojenia apetytu jakiegoś człowieka mającego w swojej kuchni mnóstwo innego jedzenia. W ciągu całego życia śwince udało się spełnić tylko jedno marzenie. Poczula słońce na swojej ziemistej skórze, gdy szła do ciężarówki.

I miejsce

Urszula Jończyk

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr STO 10 im. kard. Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Wstałam już dawno, ale nie byłam w dobrym humorze. Od rana słońce świeciło mi w oczy i nic nie widziałam. Usłyszałam czyjeś kroki. Domyśliłam się, że ktoś przyszedł na jazdę, więc obróciłam się zadem do wejścia. Nie miałam ochoty nikogo wozić.

Kiedy zorientowałam się, kto przyszedł, ucieszyłam się, bo Ula nie jest jak inni. Głaszcze, przytula i nie wścieka się na każdy mój błąd.

Gdy już mnie wyprowadziła z boksu i wyczyściła z kurzu, poszła po czaprak i siodło. Zazwyczaj nie lubię, gdy ktoś kładzie na mnie sprzęt jeździecki, ale przy Uli nie musiałam się tym przejmować. Osiodłała mnie bardzo delikatnie.

Zaraz miała mi założyć ogłowie. Bardzo się wtedy denerwuję. Spokojnie powiedziała:

- Nie bój się. Ja wiem, że ty tego nie lubisz. Tylko nie wiem dlaczego. Przecież tutaj dobrze cię traktują.

Tutaj czuję się jak w domu, ale kiedyś było inaczej. Gdy o tym pomyślałam, parsknęłam i otarłam kopyto o podłogę.

„Ciekawe, kto opiekował się tobą wcześniej?” – smutno mi się zrobiło, jak o to zapytała.

Przypomniało mi się całe moje przykre dzieciństwo i młodość. Gdy byłam źrebaczką, kupił mnie jakiś pan. Na początku wyglądał na miłego, ale tylko mi się tak wydawało. Któregoś dnia przyszedł do mnie i wymachiwał przede mną batem. Przestraszyłam się go i wiedziałam, że tu nie ma miejsca na błędy i brykanie.

Gdy już urosłam i mój właściciel zaczął na mnie jeździć, na jednej z jazd popełniłam malutki błąd. Mężczyzna chwycił gruby kij i wściekł się na mnie. Uderzył mnie dość mocno kilka razy. Najbardziej ucierpiało moje prawe ucho. Właśnie dlatego teraz, gdy ktoś zakłada mi ogłowie, jestem nerwowa. Po prostu mam złe wspomnienia. To w duszy ciągle boli i budzi mój lęk.

Całe szczęście, że ten zły człowiek postanowił mnie sprzedać. Dzięki temu mam nowy dom. Są tu ludzie, którzy mnie rozumieją. Wiedzą, że zwierzęta mają uczucia.

Chciałabym móc powiedzieć Uli, że bardzo jej dziękuję za to, że wszystko stara się robić delikatnie i szanuje moje emocje. Dzięki takim osobom jak Ula mam powody, żeby być szczęśliwa. Czasem aż trudno mi uwierzyć, że tak odwrócił się mój los. Chyba pokocham tę dziewczynkę.

Dzień był bardzo ciepły i słońce mocno świeciło, więc się cieszyłam. Byłam gotowa do jazdy. Wyszłam z mojego domku i pobiegłam do stajni. Zobaczyłam tam mojego ulubionego konika – Adrenalinę. Podeszłam do niej i ją pogłaskałam. Zauważyłam, że jest zadowolona, ale chyba nie ma ochoty pracować.

Weszłam do boksu i musiałam się nieźle natrudzić, żeby ją obrócić. Dobrze wiem, że kiedy staje zadem do wejścia, trzeba do niej delikatnie przemawiać, żeby namówić ją na obrót.

Wyprowadziłam ją na zewnątrz. Uwiąz przywiązałam do drewnianej belki i zaczęłam czyścić ją z kurzu i resztek siana. Jest taki jeździecki przesąd, że kiedy koń ma resztki siana w ogonie, to upadek murowany. Położyłam na niej czaprak, a potem siodło. Czaprak to taka podkładka pod siodło. Zapobiega obtarciom od siodła. Mój czaprak był bordowy i idealnie zgrywał się z kolorem sierści mojej Adrenalinki.

Starałam się robić wszystko delikatnie, bo wiem, że nie ona lubi gwałtownych ruchów. Spina się wtedy i denerwuje.

Potem nadszedł czas na ogłowie, czyli sprzęt, który zakłada się na głowę konia, i dopiero do niego są przyczepione wodze. Pamiętałam, że ta klacz jest wyjątkowo nerwowa, szczególnie przy dotykaniu prawego ucha, więc spokojnie powiedziałam:

- Nie bój się. Ja wiem, że ty tego nie lubisz. Tylko nie wiem dlaczego. Przecież tutaj dobrze cię traktują.

Zobaczyłam, że stała się niespokojna. Parsknęła i tupnęła, tak jakby chciała mi coś opowiedzieć.

- Ciekawe, kto opiekował się tobą wcześniej? – zapytałam z czułością.

Nie znam dokładnie historii tego konia. Tu, gdzie uczę się jeździć, właściciele też wiele o nim nie wiedzą. To musiało być jakieś straszne wspomnienie z dzieciństwa lub młodych lat, że odcisnęło aż takie piętno.

Wiem, że wczesne lata Adrenalinki spowodowały bolesne wspomnienia. Za każdym razem, kiedy do niej przychodzę, staram się uważać na sygnały, które mi wysyła, zbliżam się do niej bardzo ostrożnie. To zwierzę, ale z całym pakietem emocji, czasem trochę niekontrolowanych. Postaram się, aby czuła się przy mnie pewnie i bezpiecznie, i miała szczęśliwe życie. Zawsze będę kochać tego konia. Bez względu na trudne chwile między nami.

II miejsce

Oskar Kondrat

Szkoła Podstawowa nr 203 im. Antoniny i Jana Żabińskich w Warszawie
Nowy świat

Chciałbym opowiedzieć wam historię o przyjaźni Kota z Człowiekiem, która pomimo wielkiej katastrofy ekologicznej i wszystkich złych rzeczy przetrwała.

Do: Oskar

Od: Pantani

Data: 8.10.2092

Godzina: 19.07

Temat: Światowa rewolucja

Cześć,

Pamiętasz mnie jeszcze? To ja, twój kot Pantani. Nie słyszeliśmy się przez wiele lat, a w tym czasie, jak zapewne wiesz, wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Nie jestem pewny, czy ten e-mail do Ciebie dotrze, ale chciałem Ci opowiedzieć, co u mnie. Zwierzęta przejęły władzę na całej ziemi. Po katastrofie ekologicznej zostało 40% ludzkości, ale my przetrwaliśmy. Główne dowodzenie na świecie sprawują koty. Jestem posłem i prezesem Partii Kotów. Może Ci się wydawać, że sytuacja na świecie nie jest dobra, ale ja myślę inaczej. Teraz nadszedł czas zmian. Na posiedzeniach sejmiku powstają coraz to nowe uchwały korzystne dla planety, dla nas i dla ludzi również. Bardzo proszę odezwij się do mnie, jak tylko odczytasz tę wiadomość. Mam nadzieję, że przetrwałeś i jesteś zdrowy. Tęsknię. P.

Do: Oskar

Od: Pantani

Data: 4.11.2092

Godzina: 11.24

Temat: Nowe ustawy

Hej,

To znowu ja, cały czas nie mam od Ciebie wiadomości. Pomimo to wierzę, że żyjesz. Wysyłam Ci projekty nowych ustaw i rozporządzeń. Powiedz, co o nich myślisz.

Nowe przepisy dotyczące traktowania zwierząt z dnia 4.11.92

1. Zakaz spożywania mięsa.
2. Zakaz wycinania drzew.
3. Zakaz połowu ryb.
4. Zakaz hodowli zwierząt w celach przemysłowych.
5. Zakaz polowań.
6. Zakaz wyprowadzania psów na smyczy lub trzymania ich na łańcuchu.
7. Uwolnienie zwierząt z zoo.
8. Zakaz używania koni do celów transportowych.
9. Zakaz trzymania ptaków w klatkach.

10. Zakaz budowania nowych bloków, domów i autostrad na terenach zielonych.
11. Obowiązkowe prace na rzecz zwierząt 2 godziny dziennie (w ramach wolontariatu).
12. Zakaz wyrzucania śmieci w miejscach do tego nieprzystosowanych.

Nieprzestrzeganie powyższych przepisów będzie karane grzywną w wysokości trzydziestu tysięcy złotych.

Szczerze przyznam, że co do punktu piątego mam pewne zastrzeżenia, ponieważ bardzo chętnie bym zjadł mysz lub ptaka... znasz mnie. Teraz jem sztuczne mięso i jakoś jestem w stanie wytrzymać. A Ty? Co jesz? Niestety zwierzęta bardziej drapieżne, jak lwy czy pantery, nie chcą się do tego stosować i mamy z tym niemały problem. Odezwij się, proszę. Myślę o Tobie. Twój P.

Do: Oskar

Od: Pantani

Data: 30.11.2092

Godzina: 15.33

Temat: Nowy Ład

Cześć,

Wciąż się nie odzywasz... Nie wiem, co się z Tobą dzieje, i bardzo się niepokoję. Nie wiem, czy czytasz moje wiadomości, ale muszę Ci napisać o bardzo ważnej rzeczy. Odkąd przejęliśmy władzę, ludzie w większości byli bardzo negatywnie do nas nastawieni. Rodziły się konflikty i sytuacja zaczynała się robić niebezpieczna. W tym celu wysłaliśmy delegatów do reprezentanta ludzi, żeby wynegocjować wzajemne poszanowanie praw i równość. Jestem szczęśliwy, że negocjacje zakończyły się sukcesem. Obie strony podpisały to porozumienie i jest to początkiem dobrych zmian dla wszystkich. Teraz, kiedy to, o czym marzyliśmy, spełniło się, musimy się spotkać, aby uczcić nasze zwycięstwo. Czekam i wierzę, że się odezwiesz. Pa. P.

Do: Pantani

Od: Oskar

Data: 3.12.2092

Godzina: 20.48

Temat: Spotkanie

Cześć,

Przepraszam, że przez tak długi czas nie odpisywałem. Po katastrofie ekologicznej wyjechałem do krajów, które najbardziej potrzebowały pomocy. Tam zachorowałem na jakąś egzotyczną chorobę i przeleżałem dwa miesiące w szpitalu. Dlatego nie mogłem odpisać. Przeczytałem wszystko, co do mnie napisałeś, i również jestem szczęśliwy. Zawsze w Ciebie wierzyłem i wiedziałem, że zmienisz świat na lepsze. Cieszę się, widząc zwierzęta i ludzi żyjących ze sobą jak równy z równym. Teraz mieszkam w Warszawie na ulicy Delfiniej 8. Wprowadził się do mnie mały szympanś Zizi z zoo, który nie ma rodziców. Jest strasznie śmieszny, na pewno się polubicie, ale musisz uważać, bo będzie Cię ciągnął za ogon. Musimy się koniecznie spotkać po tych wszystkich latach niewidzenia. W końcu się razem wychowaliśmy. Mamy sobie

tylę do opowiedzenia. Przyjdź do mnie jutro. Będziemy świętować nasze zwycięstwo. Nie mogę się doczekać, Byczo! Już skończmy z tym oficjalnym językiem.

Kot i Człowiek w końcu się spotkali i świętowali przez wiele dni.

II miejsce

Wiktorija Górska

Szkoła Podstawowa nr 350 im. Armii Krajowej w Warszawie

Dzień dobry, Nazywam się Wiktorija Górska, jestem uczennicą jednej z warszawskich szkół. Moja fantastyczna i wyjątkowa pod każdym względem Pani od języka polskiego, tak bardzo zainteresowała mnie przedmiotem, że co jakiś czas odwiedzam różne strony internetowe związane z literaturą i któregoś dnia przypadkowo natknęłam się na informację zamieszczoną przez Panią, na temat konkursu „Ja-Zwierzę”.

Moją uwagę zwróciło Pani sformułowanie i określenie psa jako „trudne”. W ogóle się z tym nie zgadzam. Mam czternastoletnie doświadczenie z przebywaniem z tymi fantastycznymi zwierzętami i uważam, że mam pełne prawo zająć stanowisko w tej sprawie. W moim rodzinnym domu, podobnie jak u Pani, psy były zawsze obecne. Mama mówi, że nie ma w tym nic szczególnego, bo jest to taki rodzaj miłości od pierwszego spotkania, że jeśli się już miało choć raz psa, to będzie się je miało przez całe życie. Czasem współczuję moim znajomym, którzy nie mają obok siebie takiego przyjaciela, bo obserwuję, że często czują się samotni. Na co dzień nie mogą doświadczać tego najlepszego uczucia na świecie, jakim jest miłość, i to ta bezwarunkowa. Tak, bezwarunkowa, bo pies kocha nas za to, że po prostu jesteśmy. Odkąd pamiętam, ogromne wrażenie i wielkie łzy jak grochy, wywoływały u mnie sceny filmowe czy fragmenty literatury, w których tak obrazowo autorzy przedstawiali psie oddanie. Tęskniący pies, po śmierci pana czekający całymi dniami przed wejściem do szpitala, czy choćby ten, który jeździł koleją, to według mnie najbardziej wzruszające opowieści. Do dzisiaj pamiętam prawdziwą historię, jaka wydarzyła się w latach trzydziestych w Japonii, o psie, który przez dziesięć lat czekał na swojego pana na dworcu kolejowym, bo myślał, że wróci po pracy do domu. Niestety, jako pies nie został poinformowany o tym, że jego Pan zmarł w miejscu swojej pracy i już nigdy nie będzie mógł go przywitać na peronie dworca. Na pamiątkę tej niezwyklej historii mieszkańcy Tokio, doceniając wierność i lojalność Hachikō, wybudowali obok dworca jego pomnik, który można odwiedzić przy okazji wycieczki do kraju kwitnącej wiśni.

Zabawne jest to, że człowiek, często bez głębszego zastanowienia, opowiada tak poetycko o miłości, a w rzeczywistości nie potrafi pokochać drugiego człowieka, miłością taką, jaką potrafi zrobić to zwykły pies. Pies ma utrudnione zadanie, bo nie mówi, ale wspaniałomyślny Pan Bóg podarował mu te piękne niesamowite i głębokie jak morze oczy. W nich można zobaczyć cały jego świat i całą jego miłość. Widziałam wiele psów, niektóre z nich były naprawdę nieładne, ale oczy zawsze miały piękne. Wymówki rodziców, że

psem trzeba się zajmować, wychodzić na spacer, karmić, moim zdaniem są tylko wymówkami, bo czy oni, decydując się na posiadanie dziecka, brali te argumenty w ogóle pod uwagę. Przecież pies daje nam tyle samo miłości, a o ile mniej jest kłopotliwy w utrzymaniu. Poza względami ekonomicznymi, słyszałam, że utrzymanie dziecka kosztuje tyle samo, co wybudowanie domu, to wychowanie psa, na pewno jest mniej wymagające. Pies co prawda obraża się jak typowy nastolatek, ale nie pyskuje, nie pali papierosów, nie może wpaść w złe towarzystwo, nie zakocha się w nieodpowiedniej osobie, nie przyniesie dwójki i nie pobije kolegi w szkole. To świadczy o tym, że pies nie może być trudny. Bo co to znaczy trudny? Według słownika trudny oznacza: nieprzystępny, oporny, przykry, uciążliwy. Mając na uwadze powyższe, mogłabym się zgodzić ze stwierdzeniem, że zachowanie psa bywa trudne, ale to postępowanie człowieka jest jego przyczyną. Bo to człowiek, a nie inny pies, potrafi znęcać się nad nim w bestialski sposób, głodzić go, kopać, bić i wyprawiać inne okrutne rzeczy, które na samą myśl wzbudzają we mnie wstręt i obrzydzenie. Pamiętam, że o tym wszystkim opowiadała moim rodzicom przyjaciółka mamy, zanim rodzice podjęli decyzję o adopcji psa ze schroniska. Przestrzegła ich przed konsekwencjami takiej decyzji. Dzisiaj, po doświadczeniu przebywania z psem ze schroniska, całkowicie się z nią zgadzam. Uważam, że pomaganie zwierzętom to nie tylko zabieranie ich ze schroniska. Znam wiele historii psów, które nie spełniły oczekiwań swoich nowych właścicieli i zostały oddane z powrotem do przytułku, wywołując u nich głęboki smutek, żal i traumę do końca życia.

Moją przygodę z Arsenem pamiętam od przykrych sytuacji, kiedy stoczył walkę z moim tatą w przedpokoju. Był to dzień, gdy przyszli do mnie koledzy z przedszkola. Jak typowe przedszkolaki kieszenie mieli wypełnione po brzegi cukierkami i czekoladkami, które mój pies wywęszył na długo przed tym, jak weszli do naszego domu. Tata, konwersując z ich rodzicami na temat odprowadzenia ich po skończonych urodzinach, odganiał się nogą od Arsena jak od natrętnej muchy. Niestety Arsen okazał się nieprzejednany, noga w ogóle go nie przestraszyła, wręcz przeciwnie, tylko sprowokowała go do agresji. Nasz pies ugryzł tatę w łydkę, wywołując płacz u moich przedszkolnych gości oraz strach w oczach ich rodziców. Arsen, odkąd rodzice zaprosili go do naszego domu ze schroniska, był nienajedzony, a słodczyce wzbudzały w nim agresję. Czytałam, że psy, które w dzieciństwie doświadczyły głodu, już do końca swoich dni będą zawsze głodne. Kochaliśmy go, ale to był bardzo trudny czas dla nas. Poza wiecznym apetytem, Arsen nie mógł wychodzić bez smyczy, bo był bardzo agresywny, rzucał się na ludzi, zwłaszcza na małe dzieci i inne psy. Rodzice musieli zrezygnować z przyjmowania gości, bo albo cały czas na nich warczał, albo zamknięty w osobnym pokoju szczekał tak głośno, że sąsiedzi przychodzili i zwracali nam uwagę. Tata zwrócił się nawet do pani behawiorystki, która miała nam pomóc w opiece nad Arsenem, ale niestety nasze działania nie przyniosły żadnego rezultatu. Pani Ola stwierdziła, że trauma z dzieciństwa jest tak silna, że proces jego uspołeczniania byłby w warunkach mieszkania w bloku, przy małych dzieciach prawie niemożliwy.

Nie oddaliśmy go do schroniska, spędziliśmy z nim całe jego życie, do ostatniego dnia mógł liczyć na naszą miłość, choć przyznam, że było to bardzo trudne doświadczenie. Bardzo płakałam po jego śmierci i mama, podobnie jak u Pani, zdecydowała się bardzo szybko na posiadanie kolejnego przedstawiciela psiego gatunku. Nauczona doświadczeniem Arsena, postanowiła, że co miesiąc będziemy zasilać konto schroniska pewną kwotą pieniędzy, a nowego przyjaciela poszukamy w hodowli dla psów rasowych. Dzisiaj moją największą przyjaciółką jest półtora kilogramowa chihuahua, Almera, pochodząca z takiej właśnie hodowli, choć przyznam, że, kupienie psa w ten sposób wcale nie jest proste. Mama postawiła kilka warunków, m.in. taki, że rasa psa, jego charakter, upodobania, musi być odpowiednia do naszych warunków mieszkaniowych oraz naszego trybu życia. Nie myślałam więc nawet o pięknych dużych owczarkach, wszędobylskich terierach, czy chrapiących basetach. Wiele czasu zajęło mi wyszukanie odpowiedniej hodowli oraz przekonanie dalszej rodziny do tego, że kupienie psa w hodowli to nie jest jakąś moja fanaberia. Chciałam mieć psa pozbawionego tego całego bagażu przykrych doświadczeń i lęków, psa, o którego się zatroszczę i dam mu szczęśliwy dom. Nie było to łatwe, bo od momentu naszej pierwszej wizyty w hodowli minęło przeszło półtora roku, zanim Pani właścicielka zdecydowała się nam go oddać. Musiałam wykazać się pewną odpowiedzialnością za decyzję jego posiadania, jeździłam na wystawy, w których ta Pani brała udział, telefonowałam do niej, pytając o miot nowych szceniąt, itd. Właścicielka hodowli złamała u mnie stereotyp osoby, która chce szybko zarobić pieniądze. Swoim zachowaniem pokazała, że jej miłość do zwierząt jest większa od miłości do pieniędzy. Wtedy wydawało mi się to dziwne, że nie mogę tak po prostu kupić tego psa, teraz myślę, że to było bardzo wychowawcze z jej strony, bo chciała mieć pewność, że pies dla mnie nie będzie tylko zabawką. Dalej obserwuję hodowlę, z której pochodzi mój pies, oraz aktywność jej właścicielki. Obecnie jest międzynarodowym sędzią na wystawach psów rasowych na całym świecie i przyznam, że podziwiam to, jak pokierowała swoim życiem, że może obecnie łączyć wykonywanie pracy zawodowej z hobby i wielką miłością do zwierząt.

Ponieważ moja praca ma ograniczenie co do ilości tekstu, to kończąc, napiszę, że zgadzam się całkowicie z Janem Pawłem II, który w 1990r. powiedział, że zwierzęta mają duszę, ponieważ zostały stworzone z oddechu Boga. Jestem o tym przekonana i marzy mi się świat, w którym zwierzęta będą miały pełne prawa do szczęścia, a człowiek będzie otaczał je należyłą opieką, okazywał im należyty szacunek i kochał je tak samo bezwarunkowo, jak one nas.

II miejsce

Kinga Kowalska

Szkoła Podstawowa nr 300 im. Wandy Rutkiewicz w Warszawie

Sara

Ta historia będzie opowiadać o mojej zmarłej suczce, a wabiła się ona Sara. Wszystko zaczęło się, zanim przyszłam na świat. Moja mama wróciła pewnego dnia z pracy, mój tata powiedział, że ma dla niej niespodziankę, którą zobaczy w weekend. Mama pomyślała, że to będą pewnie zakupy.

W weekend mama z tatą wsiedli do auta, a że jechali w stronę sklepów odzieżowych, to mama coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że jada do sklepu. Zdziwiła i lekko się rozczarowała, gdy ominęli sklepy, ale nic nie mówiła. Gdy dojechali na miejsce, czyli do schroniska „Na Paluchu”, mama bała się tam wejść. Wiedziała, że nie będzie umiała wybrać jednego psa, bo najchętniej wzięłaby wszystkie psy. Były to czasy, gdy patrzysz na psa, mówisz, że chcesz go wziąć, podpisujesz papiery adopcyjne i zabierasz psa. Nie było czegoś takiego jak np. zapoznanie się z psem albo zaprowadzenie psa do twojego mieszkania, żeby się oswoił z nowym środowiskiem. Po prostu podpisujesz papiery i zabierasz psa. Ale wróćmy do historii. Rodzice przeszli całe schronisko. Mama poszła tam, gdzie są takie malutkie szczeniaczki, ale nie mogła znaleźć mojego taty, więc zaczęła go szukać. Podeszła do blatu recepcji, obok była taka barierka, do której przywiązana była suczka wyglądająca jak owczarek niemiecki, a obok stał mój tata. W stronę drzwi szła matka z córką. Obydwie płakały. Jak się okazało, oddały Sarę do schroniska. Gdy mama spojrzała w brązowe oczy Sary, wiedziała, że to ten pies. Sara była kundelkiem, lecz na pierwszy rzut oka była prawdziwym owczarkiem niemieckim. Miała duże czarne sterczące uszy, czarny pysk oprócz jasnobrazowych połowicznych obwódok wokół oczu od strony nosa, po bokach pyska miała biszkoptową sierść, która ciągnęła się przez klatkę piersiową i łapy, docierając do spodu ogona. Cały grzbiet miała czarny jak smoła, tak samo jak uszy, pysk oraz wierzch ogona. Po uzupełnieniu papierów adopcyjnych moi rodzice zabrali Sarę do domu. Sara została przekazana z ręki do ręki, nie знаła wcześniej ani mojej mamy, ani taty. Jej wiek na podstawie zębów był szacowany na rok. Żeby dojechać do auta, Sara musiała przejść przez długą dwutorową drogę, potem przejść przez ulicę i wtedy była na parkingu. Przez długi czas Sara była spokojna, prowadzona na smyczy i w kagańcu przez mojego tatę. Gdy doszli na przejście dla pieszych, Sara nagle się zatrzymała, zaczęła się cofać oraz zapierać łapami. Mój tata zaczął ją ciągnąć, bo może przyjechać auto i potraci Sarę oraz moich rodziców. W domu Sara miała wszystko, czy to legowisko, czy miski bądź smycze. Był jednak mały problem: Sara miała lęk separacyjny, czyli bała się zostawać sama, bo myślała, że skoro tamci opiekunowie ją zostawili, to obecni również mogą to uczynić. Możemy tylko snuć domysły, co działo się w jej poprzednim domu, ale jedno jest pewne: Sara bała się i nie lubiła krzyków, rozstań z opiekunami, zapachu alkoholu oraz gwałtownych ruchów, bardziej bała się też mężczyzn niż kobiet. Sara w poprzedniej rodzinie mogła być bita

przez ojca alkoholika, który na nią krzychał. Dlatego matka i córka ją oddały. Nie chciały, żeby cierpiała przez bicie, choć rozstanie raczej nie było łatwe, bo obydwie wyszły całe w łzach, ale to pokazuje, że kochały Sarę i chciały dla niej jak najlepiej. Natomiast w domu moich rodziców, gdy tylko wychodzili w dwójkę, Sara obgryzała tapicerkę na drzwiach, gryzła meble, ujadła, chciała do swoich właścicieli. Sara, gdy już zaufała moim rodzicom, często gdzieś z nimi wyjeżdżała, bo mieszkała w Warszawie na trzynastym piętrze w bloku. Celem wycieczek często były góry albo lasy, gdzie Sara mogła na łonie natury sobie pohasać i się wybiegać. Często jeździła do mojej babci, a mamy mojej mamy. Babcia ma duże podwórko i do tego koty do ganiaania. Sara w wieku pięciu lat zachorowała na boreliozę, lecz miała na tyle sił, żeby walczyć, i wygrała tę walkę z chorobą.

Po trzech latach, 07.07.2010 roku, urodziłam się ja. Gdy wraz z mamą pierwszy raz przyjechałam do domu, mama, trzymając mnie na rękach, dała mnie obwąchać Sarze. Sara mnie obwąchała i od tego czasu na ziemi miałam własnego widocznego anioła stróża, tylko że na czterech łapach. Sara chodziła za mną krok w krok, tam gdzie ja, tam i ona. Gdy ja spałam, Sara obok mnie leżała i mnie pilnowała. Pewnego razu mama jak zawsze przyjechała z Sarą do babci, ale nie mogła zabrać Sary ze sobą do Warszawy. Mama otworzyła bagażnik i mówi: dobra Sara, wchodź, spróbujemy pojechać. Sara zrobiła krok w tył i nie chciała wejść do auta. To był moment, kiedy Sara postanowiła, że jest gotowa, żeby zostać u mojej babci. W każde wakacje oraz ferie przyjeżdżaliśmy z mamą do niej. Sara po sterylizacji zaczęła tyć, przez co miała problem z łapami, do tego, gdy była szczeniakiem nie usunięto jej szóstego pazura, który nie sięga ziemi, a co za tym idzie nie ściera się o podłogę i wrasta boleśnie się w skórę. Sara była już starszym psem, gdy pewnego ranka nie obudziła się. W nocy podczas snu odeszła z tego świata. Miała trzynaście lat, to dużo jak na owczarka niemieckiego, czyli rasy dużych psów. Cieszę się, że Sara trafiła do takiej rodziny, gdzie była kochana. Pomimo jej trudnych początków, problemów z zaufaniem, wyrosła na łagodną i lojalną wobec swojej rodziny i przyjaciół sunię. Sara to był złoty pies. Kochająca rodzina pomagała i wspierała ją, gdy na początku bała się zaufać ludziom. Z ludźmi miała kiedyś złe doświadczenia. Przemoc, alkohol oraz krzyki to mogła być jej codzienność. Dla swojej rodziny była gotowa oddać swoje życie i z wzajemnością. Mam nadzieję, że każde zwierzę znajdzie takich kochających opiekunów jak Sara.

III miejsce

Stanisław Julke

Szkoły im. Cecylii Plater-Zyberkówny w Warszawie

Idzie. Idzie nieśpiesznie. Idzie nieśpiesznie i majestatycznie. I nagle stało się! Głuchy łoskot upadającego bezwiednie ciała. Cisza. Uśmiechnąłem się. To było nieuniknione, pomyślałem. Powoli odwróciłem głowę. W jaskrawej plamie słońca leżał uszczęśliwiony mruczek. Jego szczęście zostało otoczone ostrymi krawędziami cienia, ale on zupełnie tego nie zauważał, czerpiąc rozkosz ciepła spływającego przez okno całym szarym, kocim futerkiem

i zabawnie sterczącymi wibrysami. Małeńkie antenki zdawały się delikatnie drgać, jakby odbierały niewidoczne i niesłyszalne wibracje rozchodzące się we wszechświecie.

- Dobrze ci, prawda? – zagadnąłem.

W odpowiedzi wyciągnął wszystkie cztery łapki, rozciągając się rozkosznie, i przewrócił na grzbiet. Pozostał w bezruchu ze swoim szelmowskim, kocim uśmiechem, pławiąc się w niczym niezmaconym szczęściu. Niczym niezmaconym, bezgranicznym szczęściu. Szczęściu bez żadnego cienia, rozlanego błogo w każdej najmniejszej cząsteczce swojego kociego istnienia.

- Czy i my, ludzie, potrafimy tak doskonale przyjąć i smakować szczęście? – zapytałem.

Kot w odpowiedzi znowu się przeciągnął i nadstawił pyszczek do drapania.

- Ach tak! Jednak coś więcej ci potrzeba!

Po chwili drapania kociego futerka rozległo się rozkoszne mruczenie, a przednie łapki zaczęły delikatnie „masować” moje kolano, na którym przyklęknąłem obok rozgrzanego słońcem futrzaka. Przy każdym naciśnięciu łapki kot delikatnie wbijał pazurki, zahaczając o materiał spodni.

- Niezwykła z ciebie istota. Ty nie potrzebujesz nic więcej! Ty dzielisz się ze mną swoją słoneczną radością, której ja nie potrafiłem dziś dostrzec ani docenić.

W odpowiedzi machnięcie ogona, delikatne otarcie główki o moją rękę i przymrużone bursztynowe oczy.

- Tak, wiem. Jesteś szczęśliwy. Ja też! Dziękuję ci, drogi przyjacielu.

Przymknąłem oczy i odwróciłem głowę w kierunku słońca, zapominając o: wczoraj, dziś i jutro, pozostając w szczelinie „teraz” przesączonej ciepłem niezmaconego szczęścia. Jestem bezgranicznie szczęśliwy tu i teraz. Czy to możliwe?

Kot, jakby słysząc moje myśli, na chwilę lekko poruszył uszami i westchnął. Tak po ludzku z odrobiną niecierpliwości i zdumienia. Jak można sobie takimi oczywistymi rzeczami zawracać głowę? W ogóle jak można przerywać tak doskonałą chwilę trywialnymi pytaniami?

- Tak, masz rację. Szczęście jest bezgraniczne i wszechobecne jak powietrze i nasza wyobraźnia. Trzeba je tylko chcieć i umieć dostrzec, a potem pozwolić mu się otulić.

Słonko grzało nas jeszcze dwie chwile, aby ustąpić miejsce burzowej chmurze. Zniknęła złota plama słońca. Przez uchylone okno wpadł wiatr, niosąc zapach deszczu. Kot wstał, wyciągnął przed siebie jedną łapę, po chwili drugą, wygiął w pałak grzbiet i usiadł. Otworzył szerzej oczy i ziewnął, ukazując różowy, zawinięty jak motyli czułek, języczek. Przez chwilę spojrział na mnie z wdzięcznością. Przymrużył oczy i niespokojnie poruszył nozdrzami. Z kocią lekkością wskoczył na parapet, oczekując na widowisko, które niosła ze sobą burza.

III miejsce

Gaja Graniszewska

Szkoła Podstawowa Zakonu Pijarów im. o. Onufrego Kopczyńskiego w Warszawie

Jesteśmy wszędzie... choć rzadko nas zauważasz. Stałyśmy się niezauważalne w swojej wszechobecności. Bardzo prosto nas dostrzec, jednak dla większości ludzi jesteśmy zbyt nudne, pospolite i nijakie, aby poświęcić nam jakąkolwiek uwagę... Jeśli już nas dostrzegają, zazwyczaj czują jedynie odrazę. Może Ty również? Jednak jeżeli przyjrzyj się nam uważnie, twój wstręt zmieni się w ciekawość. Przystaniemy być dla Ciebie pospolite, a wręcz przeciwnie – odkryjesz naszą wyjątkowość. Lecz aby tak było, musisz najpierw nas zrozumieć, a aby nas zrozumieć – musisz nas poznać.

Czy już wiesz, kim jesteśmy? Zgadza się, gołębiami (columba livia forma urbana). Ja jestem jednym z nich i jestem wyjątkowy, choć na pierwszy rzut oka nie odróżniłbyś mnie od tysiąca moich braci i sióstr. Mam na imię Columb i zabiorę Cię w podróż, w której dowiesz się, dlaczego niektórzy szukają zrozumienia i wsparcia u nas – gołębi.

Grruu, gruu! Historia, którą opowiem, dzieje się w mieście, jakich wiele: wysokie budynki, wąskie ulice, głośnie samochody i wiecznie zabiegani ludzie. Mieszkam tu od zawsze. Musisz wiedzieć, że my, gołębie, bardzo przywiązujemy się do miejsc, w których żyjemy. Gdy założymy gniazdo, mieszkamy w nim całe życie, choć, niestety, często niszczą nam je ludzie i musimy szukać nowego domu. Staram się ich zrozumieć. Wiem, że każdy z nas produkuje rocznie aż jedenaście kilogramów odchodów, a ludzie nie lubią bałaganu, ale wciąż żal ściska moje gołębie serce, gdy widzę, jak ktoś z moich przyjaciół traci schronienie. Grruu, gruu!

Burczało mi w brzuchu, więc rozglądałem się za pozostawionym rogalem albo rozrzuconymi okruszkami. Wtedy zobaczyłem siedzącą na ławce starszą panią. Miała na sobie biały płaszcz, a na głowie nosiła beret. Ożywiłem się i podfrunąłem bliżej, miałem nadzieję, że czymś mnie poczęstuje. Na jej twarzy gościł smutek, nie wyglądała na szczęśliwą. Jednak, gdy mnie zobaczyła, podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

– Jesteś głodny, maluszku? – zapytała ciepłym głosem, po czym wyjęła z kieszeni garść ziarenek. Gruchnąłem radośnie i z zadowoleniem zabrałem się do posiłku. Po chwili dołączyli do mnie moi towarzysze. Gdy już zjedliśmy wszystko, podziękowaliśmy wesołą wrzawą i odfrunęliśmy dalej.

Następnego dnia wróciłem w to samo miejsce. Pani, która poprzedniego dnia zapewniła mi taką ucztę, znów siedziała na ławeczce. Grruu, grruu, gruu! Mimo, że była inaczej ubrana, byłem pewien, że to ona. Zastanawiasz się pewnie, skąd to wiedziałem. Otóż, my gołębie, potrafimy rozpoznawać ludzkie twarze. Fascynujące, nie uważasz?

Znów hojnie nas obdarowała. Gdy spożywałyśmy śniadanko, zaczęła do nas mówić. Nie byłem zaskoczony. Już dawno doszedłem do wniosku, że ludzie, którzy się o nas troszczą, są trochę podobni do nas, grruu. Czują się

niezrozumiani. Dla wielu osób są przezroczyści. Jakby ich wcale nie było. Wtedy przychodzą do nas. Dla nas są ważni i przywiązujemy się do nich, ponieważ o nas dbają. Znajdują w nas towarzystwo, a my dzięki nim mamy pełne brzuszki. Grruu... grrruu! Poza tym jesteśmy świetnymi słuchaczami.

Gdy ziarenka się skończyły, pani Sabinka (tak nam się przedstawiła) powiedziała:

– Co ja bym bez was zrobiła, moje ptaszki? Tylko wy, na całym wielkim świecie mnie rozumiecie. Dzięki wam wiem, że jestem potrzebna i że jest ktoś, kto na mnie czeka i komu na mnie zależy. Dziękuję wam.

To był moment, w którym pojąłem, że najważniejsze jest to, aby zrozumieć drugą istotę. Pani Sabinka nie jest samotna, ponieważ my ją poznałyśmy i odkryłyśmy jej niezwykłość. Oceniliśmy jej czyny, nie wygląd. Ludzie często oceniają po wyglądzie, ale ja uważam, że najpiękniejsza jest wrażliwość i życzliwość. Na tym właśnie polega zrozumienie, na odkryciu piękna w każdej istocie.

My odróżniamy jej twarz z tysiąca innych, a ona nazywa każdego z nas po imieniu. Grrruu... to takie miłe, kiedy woła do mnie Columb. Co jest w niej wyjątkowego? Wydaje mi się, że to, jak bardzo jest spokojna. Nie spieszy się nigdzie, nie wykonuje nerwowych ruchów. Wręcz przeciwnie, zawsze chodzi cichutko i powoli, aby nas nie spłoszyć. Dzięki temu ma czas dostrzec rzeczy, których zwykli ludzie nie dostrzegają. Na przykład to, że nie jesteśmy tylko szare, ale mamy też zielonkawą opalizację na szyi i fioletową po bokach albo to, że młodsi z nas mają oczy barwy czekoladowej, a starsi pomarańczowo-czerwonej. To wszystko są szczegóły, które umykają innym, ale nie jej uważnym, przepelnionym dobrocią oczom. Jej wrażliwość również jest nie do przecenienia. Zawsze, gdy jest wiosna, daje nam pożywny groszek, mówiąc, że dla rodziców malutkich pisklaków należy się coś wyjątkowego. Grru... za każdym razem, gdy to opowiadam, wzruszam się.

Dopóki jej nie poznałem, nigdy nie sądziłem, że człowiek jest w stanie tak dobrze traktować gołębia. Myślę, że to dzięki empatii, czyli zdolności do zrozumienia drugiej osoby (lub zwierzęcia!!!) i spojrzenia na świat z jej perspektywy. Ja uważam, że to najważniejsza umiejętność w życiu każdego z nas, grrruuuch, ponieważ ona pozwala nam na dostrzeżenie piękna w każdym stworzeniu i sprawia, że wnosimy światło i piękno w życie innych.

Na zakończenie pragnę podzielić się z Tobą myślą, która przyszła do mojego ptasiego mózdzka, gdy jadłem pyszne nasionka słonecznika, które tak wybornie smakują i napełniają mój gołębi brzuszek, grrrruuuu. Na początku wszyscy jesteśmy jak takie ziarenka: szarzy, niewielcy i nieciekawi. Jednak, gdy ktoś odpowiednio o nas zadba, okaże nam empatię i zrozumienie, wtedy rozkwitamy, pokazujemy swoje prawdziwe barwy i piękno. Jedyne, co trzeba zrobić, to odkryć wyjątkowość w każdej istocie.

III miejsce

Adam Słodownik

Niepubliczna Szkoła Podstawowa „Moja Szkoła” w Łomiankach

- A może jednak? – dopytywał Jurek.

- Nie ma mowy. Dobrze wiesz, czym to się skończy. – ucięła mama.

- Mało ma matka na głowie? Wieczne spacery, sprzątanie, pchły, kleszcze! Chcesz ją wpędzić do grobu? – denerwował się tata.

Znów to samo. Rodzice nigdy się nie zgodzą na zwierzaka. Jurkowi było przykro, gdy wszyscy koledzy chwalili się swoimi pupilami. Bartek ma kota, Stefan ma rybki, a Jurek tylko pająki za szafą...

Ponure poniedziałkowe popołudnie. Jurek udał się do ogrodu. Co tu robić? - myślał. Nagle zza krzaczka porzeczek wyłoniła się (niby całkiem zwykła) żaba. Ale czy na pewno taka zwykła?

Żaba była cała czarna, tylko z boku połyskiwała czerwienią. Wielkością przypominała niewielki kamyk. Jednak było w niej coś wyjątkowego. Przypatrywała się chłopcu z zaciekawieniem. Po chwili malutkim ołówczkiem napisała niewprawnie na listku:

- Cześć, jezdem rzaba.

Z początku zszokowany, Jurek poleciał po kartkę i długopis.

- A ja Jurek. – odpisał i zapytał: - Rzaba, a nie żaba? Jesteś pewna?

- Tak, jezdem pewna. Rzaba. Tak się nazywam. Morze nie jezdem dobra z ortografii, ale z matematyki i ofszem.

Jurek pomyślał: - Dobra z matmy? A dziś klasówka z ułamków!

- Pakuj się do piórnika!

- Sam się pakuj! – migiem odpisała na listku żaba.

Rodzice byli zdziwieni, że Jurek tak szybko wybiegł z domu na lekcje. W drodze do szkoły żaba powtórzyła z Jurkiem ułamki dziesiętne:

- Pszeczinek powędruje o dwa miejsca. – pouczała żaba. – O, teras wszystko dobrze!

- Dzięki, ale pamiętaj: dobrze, bo rz wymienia się na r. Dobrze-dobry.

Przez następne dni żaba nie rozstawała się z Jurkiem, a oceny z matmy były wyraźnie lepsze. Jednak rodzice byli podejrzliwi:

- Kolejna szóstka, może ściąga? – domyślała się mama.

- Czy on przed nami coś ukrywa? – zachodził w głowę tata.

Wieczorem rodzice poszli porozmawiać z synem.

- Jurek, skąd te oceny? Pięć z ułamków, sześć z kolejności działań, pięć plus z pracy domowej. Możesz to nam jakoś wytłumaczyć?

I Jurek wytłumaczył. Zaskoczenie! „Rzaba” matematyk?! Rodzice przekonali się jednak do żaby, a na dniach w ogródku robotnicy zaczęli kopać dla niej stawik nieopodal krzaczka porzeczek.

- Jestem państwu bardzo wdzięczna. – pisała w liściku piękną polszczyzną żaba. – Z wyrazami szacunku – Rzaba.

Wyróżnienie

Aleksandra Bielak

Szkoła Podstawowa nr 169 im. Orła Białego w Warszawie

Serce Rudego

Wszystko, o czym Wam opowiem, zaczęło się dwa lata temu. Byłem wtedy pokrytym puchem, niczym pisklak, kociakiem. Małym, wątłym i najsłabszym z rodzeństwa, przez co zawsze musiałem być pierwszy przy misce z karmą. Taki stres dla malucha to trauma na całe pierwsze z siedmiu kocich żyć. Moi silniejsi bracia odsuwali mnie łapami od mleka mamy, przez co mało jadłem i nie przybierałem na wadze. Zawsze chciałem być od nich większy. To chyba jakiś koci syndrom najmłodszego. Nie było mi dane za długo nad tym rozmyślać. Moja kocia mama nie wróciła któregoś dnia z nocnego spaceru. Szukaliśmy jej z Gustawem, moim bratem, ale prawie zamarzliśmy na jesiennym deszczu i tylko dzięki opiekunowi pobliskiej szkoły, jako dwójka sierot, trafiliśmy do schroniska niedaleko miejsca zwanego „Radom”.

Tak zamieszkaliśmy wraz z bratem w przytulisku dla kotów w Pionkach. Na co dzień było tam tłoczno i gwarno. Opiekunowie ciągle kogoś przywozili, leczyli lub szczepili. Mimo tych wszystkich okropieństw, było nam ciepło w niewielkim pomieszczeniu pełnym podobnych nam, osieroconych maluchów. Czasami opiekunowie zabierali nas na chwilę na rękach do starszych kotów i właśnie tam poznałem Rogalika. Drzemiąc pod kaloryferem tego samego dnia usłyszałem, że jacyś ludzie mieli go adoptować. Podobno mieli wybrać się do nas z miejsca zwanego „Warszawą”. Ta cała adopcja to było podobno coś wyjątkowego. Nie wiedziałeś, gdzie i do kogo jedziesz. To straszne być tak niepewnym, czy tam jest dobrze, czy źle. Jakbym miał w dzieciństwie mało stresu, to jeszcze mi kolegę z pokoju obok mieli porwać. Miałem nadzieję, że i ja kiedyś znajdę okazję na taką podróż i przygodę.

Parę dni później słyhać było przez drzwi oczekiwanych gości. Podniecone głosy ludzi sprawiły, że leniwie rozciągnąłem grzbiet i postanowiłem sprawdzić co i jak. Czekałem pod samymi drzwiami, nasłuchując. Po chwili otworzyły się drzwi. Pierwsze, co zrobiłem, to próbowałem uciec spod dużych butów i obcych zapachów. Gdy ujrzałem tych ludzi, pomyślałem, że w końcu nie wpuściliby tu nikogo niebezpiecznego, i moja wrodzona ciekawość wzięła górę nad instynktem, a może to instynkt przetrwania podpowiedział mi, że to jest właśnie moja szansa na inne życie. Postanowiłem czym prędzej poprosić mojego brata Gustawa o pomoc.

- Gustaw, obudź się! Nowi ludzie przyjechali - syknąłem pół-pyszczkiem w kocim języku. - Wiesz, co to znaczy, prawda?

- Jestem głodny – odparł Gustaw. Bardzo chcę mi się spać. Dziś drzemałem tylko 6 godzin. Padam z łap.

- Mamy szansę się stąd wyrwać. Nie możesz pozwolić nam jej zmarnować – krótko urwałem.

Idąc w kierunku młodej osoby, otarłem się bokiem o kilka innych kotów, aby pokazać, że jestem przyjacielski i oswojony z innymi zwierzętami. Dla ludzi to chyba ważne, jak slyszalem od nieco starszych kotów, które wracały z adopcji, bo były się z innymi domownikami. Czasem były to psy, a czasem inne koty. W sumie to ta rodzina wydała się intrygująca i do tego wniosła do pomieszczenia wiele nieznanym mi zapachów. Niektóre przygasały przez mój koci katar, który roznosił się wśród całej naszej gromady przez nowo przybyłe, zarazone kociaki. Z rozmyślania wyrwały mnie inne koty zainteresowane tymi ludźmi. Jeśli nie będziemy z Gustawem bliżej nich, jak ja przy misce z karmą, nigdy się nam nie uda zasmakować ryzyka i przygód świata, czekających na nas poza tym pokojem. Gustaw spojrzal na mnie idąc spokojnie w kierunku kolan ludzi. Przykucnęli głaszcząc wszystkie gromadzące się wokół nich maluchy. Byliśmy najmłodsi z ferajny i nie wiedzieliśmy, jak się zachować. Gustaw i ja wskoczyliśmy na swoje wybrane miejsce. Niestety byłem za słaby i spadłem na bok. W myślach widziałem już rozstanie z Gustawem i smutne dni w czekaniu na kolejną szansę adopcji. Znałem starsze koty, które są już tu dwa i cztery lata. Ten nieudany skok był dla mnie wybawieniem. Sprawilo, że wzięli mnie na ręce. Były ciepłe i czułe. Przypomniały mi się chwile z moją mamą i bijące od jej futra ciepło.

Z wysokości nie widziałem Gustawa. Ludzie cały czas coś do siebie mówili i pokazywali sobie mnie nawzajem. W końcu zobaczyłem brata. Ten gamoń spał! Tak jak mnie zapewnił, zrobił co mógł. Władował się na kolana starszej z dwóch dziewczynek i oddał się w objęcia snu. Do dziewczyny zwracano się Ola. Ja trafilem na ręce jej mamy. Widać było, że traktują nas jak magiczne i bezcenne istoty, jakimi jesteśmy. Dawno tak głośno nie mruzczałem. Ziewnąłem, jakby to był sen.

Odjechali. Dawno nie byłem taki zrozpaczony. Nie odzywałem się do Gustawa, winiąc go za to, że nie postarał się bardziej. Nie mogłem sobie tego darować, że nie opuściliśmy schroniska tego samego dnia. Siadłem przy parapecie. Krople jesiennego deszczu uderzały rytmicznie o szybę. Patrzyłem na nie, jak spływają, niczym łzy. Koci los. Pomyślałem, że z Gustawem mieliśmy szczęście i żyło nam się dobrze. W schronisku karmili i leczyli nas codziennie. Dbali o to, aby zawsze było nam ciepło i abyśmy nie krzywdzili się pazurami w zabawie. Rozmyślając o tym, podsłuchalem opiekunkę. Nie mogłem uwierzyć w to, co slyszę. Z powodu tak zwanych „formalności” nie mogliśmy opuścić Pionek tego samego dnia. Dopiero kiedy zwiadowcy schroniska sprawdzą, czy owo miejsce będzie bezpieczne, i załatwią jakieś „papiery” mieliśmy zobaczyć nowy dom. Oszałałem z radości. Zacząłem wariować i budzić wszystkie inne koty, zaczepiając je i zachęcając do wspólnej zabawy. Nie ma lepszej pory na takie akcje jak środek nocy.

Wyruszyliśmy w sobotę rano. Trasa była bardzo długa, jednak czulem się szczęśliwy, a zarazem niepewny tego, co czeka mnie i Gustawa na końcu podróży. Dotarliśmy do mieszkania w transporterze. Przedpokój był ciepły, choć zaniepokoiła mnie obecność innego kota. Gospodarze wypuścili nas w końcu i nałożyli jedzenie, jakiego nigdy nie jadłem. Przejadłem się! Córki

moich nowych opiekunów głaskały nas po brzuskach, gdy leżeliśmy z Gustawem rozanieleni na podłodze. Obudziłem się z drzemki, Gustaw patrzył na coś za przeszklonymi drzwiami balkonu. Chyba widział odlatujące ptaki. Wydawał dźwięk, który my, koty, nazywamy przewrotnie „szczekaniem”.

- Czy to nie wspaniałe, Gustaw? W końcu nowy dom!- syknąłem ze szczęścia.

- Udało się nam – odparł Gustaw. Musisz poznać Bruna. To nasz nowy stryj. Nie jest zadowolony z naszej wizyty. Liczy, że to tylko przelotna znajomość i się gdzieś szybko wyprowadzimy.

Jak rodzina, potrzebowaliśmy czasu, aby się poznać ze stryjem. Bruno wychowywał się sam, przez co nie zawsze wiedział, jak boli zabawa z nim. Z czasem uchylił mi drzwi do świata magii balkonu. Coś tak prostego i tak wspaniałego. Gdy jest się grzecznym, przy dobrej pogodzie możemy siedzieć tam tak długo, jak chcemy. Jest tam przyjemnie. Ciepłe promienie, świeże powietrze, mnóstwo zapachów i śpiew ptaków rozbudzają marzenia, że aż chce się latać. Postanowiłem kilka razy powędrować za przygodą na balkony innych ludzi. Moja ludzka mama zdenerwowała się bardzo. Słyszałem, jak martwiła się o mnie, i obiecała, że więcej nie wypuści na balkon. Mimo to siedzę dziś tam pod jej oknem, gdyż mam w sobie to coś wyjątkowego, co potrafi wzbudzić w człowieku czułość i współczucie. To moja kocia tajna broń genetyczna.

Wiele chorób, które przywoziłem ze schroniska, takie jak: koci trądzik, zapalenie spojówek i koci katar, zniknęło. Kosztowało to mnie wiele męki i wizyt u lekarzy. No cóż, czasem i koty stać na takie poświęcenie. A i jeszcze coś. Ptaki to moja pasja. Jestem w głębi duszy ornitologiem. Jak dorosnę, to będę się z nich doktoryzował. Jako Doktor Rudy napiszę z Gustawem prace zbiorową i pochwalę się nią stryjowi Brunowi. Znam już jej tytuł. „Indyk czy kurczak. Oto jest pytanie”.

Wyróżnienie

Jagoda Rogowska

Szkoła Podstawowa nr 80 w Warszawie

Od półtora roku mam kotkę, z którą życie to prawdziwa przygoda. Świat bez niej byłby dużo mniej kolorowy. Dzięki niej nauczyłam się, że psychika zwierząt jest skomplikowana i trzeba być bardzo uważnym i obserwować swoich podopiecznych.

Villemo trafiła do naszego domu jesienią 2019 roku. Przed nią mieliśmy kilka lat dwa koty, z którymi byliśmy bardzo zżyci. Gdy jedna z nich, Koci, zachorowała na nerki i po długiej chorobie przyszedł czas pożegnania, moja mama rozpacziała i powiedziała, że nie będziemy mieć już kotów.

Minęło kilka tygodni i mama zobaczyła ogłoszenie, że ktoś w okolicy chce oddać małe kotki w dobre ręce. Mama zobaczyła zdjęcie małego, chudego rudego kotka ze śmieszoną łatą na nosie, w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia. Dosłownie. Pokazała mi i siostrze zdjęcie i jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy po maleństwo.

Mała była bardzo zabiedzona i wystraszona. Jednak już drugiego dnia zaczęła zwiedzać nasz dom i nam ufać. Zwykle koty potrzebują czasu na adaptację, ale nie Villemo – ona od razu uznała, że to jest jej królestwo, a ona tu jest panującym władczą... Szalała od początku. Pokochaliśmy ją wielką miłością, a ona nas.

Skąd takie dziwne imię? Villemo to bohaterka norweskiej „Sagi o Ludziach Łodu”. To rudowłosa dziewczyna, pełna życia, radości. Była bardzo odważna i chętna do przygód. Nic i nikt nie mogło jej złamać. Ta bohaterka wydała nam się idealnie pasować do naszego kociaka. Trafiliśmy w samo sedno!

Nasza kotka okazała się istotą pełną życia i odwagi. Niczego i nikogo się nie boi. Dominuje nad całym domem - podporządkowała sobie psa i drugiego kota, o naszej czterosobowej rodzinie nie wspominając. Potrafi być bardzo sprytna – gdy narozrabia, przychodzi i się przytula, udaje, że to na pewno nie ona. Ma ogromną wiarę w siebie – jestem pewna, że gdy patrzy na siebie w lustrze (a lubi się podziwiać), to widzi w nim tygrysa, lwa, a nie małego kotka. Niestety, ta jej pewność siebie jest niebezpieczna. Villemo uznała, że pies sąsiadów, labrador, też powinien jej słuchać. Zaczęła go odwiedzać i straszyć - skończyło się ugryzieniem i ucieczką na drzewo. Musiała mieć zszywaną skórę. Gdy tylko wydobrzała, uznała, że dalej będzie straszyć psa, ale już stojąc po drugiej stronie ogrodzenia.

Potrafi być też złośliwa. Gdy po sterylizacji musiała mieć ubranko (a koty bardzo tego nie lubią), uznała, że trzeba nam za to odpłacić. Szkody w domu były znaczne - lekarz skomentował to jednym zdaniem – jest złośliwa, to taki typ charakteru – trzykolorowe kocice tak mają, trzeba być cierpliwym. I rzeczywiście, gdy uznała, że nam odplaciła pięknym za nadobne, złośliwości ustały.

Pierwsza zima Villemo była ciepła, bezśnieżna i nasz kociak codziennie wychodził do ogrodu i bawił się na dworze. Niestety do czasu...

Gdy przyszła druga zima, z naszym odważnym odkrywcą coś dziwnego zaczęło się dziać. Była smutna, apatyczna, spała pół dnia. Nie chciała wychodzić na dwór. Zaczęliśmy się niepokoić, czy na coś nie zachorowała. Weterynarz zrobił jej badania i orzekł, że jest zdrowa. Jednak zachowanie i dziwny nastrój bardzo nas niepokoił. Pani doktor zaczęła się dopytywać, czy w domu nie zaszły jakieś zmiany. Koty nie lubią żadnych zmian – nawet przestawienie mebli jest dla nich zagrożeniem.

Wtedy dopiero uświadomiliśmy sobie, że przecież spadł śnieg. I zielony ogród, który Villemo znała, stał się biały, zimny i mokry. Za każdym razem, gdy Villi chciała wyjść na dwór i na tarasie widziała białą pierzynkę - sztywniała i cofała się! Dla niej była to nowość mało przyjemna. Śnieg okazał się przeciwnikiem, z którym nie potrafiła sobie poradzić. Syczała na niego, wystawiała pazurki, a śnieg i tak nie chciał zniknąć. I stąd ten podły nastrój. Śnieg okazał się przeciwnikiem nie do pokonania. Pani doktor powiedziała, że to najprawdopodobniej kocia depresja. Villemo stawała przed oknem tarasowym i smutnym wzrokiem wypatrywała, kiedy śnieg zniknie.

Gdy tylko zrobiło się cieplej i znów zrobiło się zielono – kot wrócił do siebie. Znów biega, wszędzie zagląda, chce się bawić. Jest też pierwszym ogrodnikiem – gdy mama czyści rabaty, grabi i wykonuje inne prace, to Villemo nie odpuszcza jej na krok – uwielbia pomagać w ogrodzie. Jest teraz jednak dużo ostrożniejsza - zanim wyjdzie na trawnik, bada łapką, czy na pewno ziemia nie jest mokra i zimna.

To doświadczenie uświadomiło nam, jak złożona jest kocia natura - zwierzęta mają swoje zmartwienia i troski. Ich wiara w siebie może zostać zachwiana. Villemo została pokonana przez siły natury i bardzo jej się to nie podobało - nie miała bowiem metody na pokonanie śniegu i czuła się bezbronna. Dla istoty, która uważa się za króla lwa, było to trudne doświadczenie.

Wiem, że nie jest tak, że zwierzęta kierują się tylko instynktem – to nieprawda. Mają swoje uczucia, swoje zmartwienia. Tak jak ludzie, mają swoją skomplikowaną naturę i każde zwierzę jest inne. Mój drugi kot – Saga - jest zupełnie inna. Ona jest eleganckim, poważnym kotem, nie przejmuje się byle czym. Ona absolutnie nie boi się śniegu - uwielbia tarzać się w śniegu! Wtedy patrzy na Villemo z wyższością, bo ta stoi za oknem wystraszona.

Kto bierze zwierzę do domu, musi wiedzieć jedno – każde zwierzę jest inne i trzeba liczyć się z różnymi niespodziankami. Nasze wyobrażenia nijak mają się do rzeczywistości. Nie każdy kot lubi się przytulać, nie każdy kot łowi myszy. To samo jest z psami. Ja mam psa, który ma już 16 lat. Nic nie słyszy, słabo widzi, ale nadal cieszy się, gdy wracamy do domu. Jest zazdrosna o relacje z kotami – musimy pamiętać, że po zabawach z kotami trzeba ją przytulić i ukochać. W przeciwnej sytuacji obraża się na nas.

Opieka nad zwierzętami nauczyła mnie zrozumienia dla drugiej istoty, miłości i szacunku do przyrody. Nie jesteśmy pępkami świata, ludzie wcale nie są ani lepsi, ani mądrzejsi od zwierząt.

Wyróżnienie

Kacper Strojecki

Szkoła Podstawowa nr 203 im. Antoniny i Jana Żabińskich w Warszawie

Ta historia nie należy do wesołych i nie ma też szczęśliwego zakończenia, dlatego miałem obawy, żeby ją opowiedzieć. Jest jednak prawdziwa, wydarzyła się w mojej rodzinie, a kiedy ją usłyszałem, wywarła na mnie ogromne wrażenie i na zawsze utkwiała w pamięci. Dlatego pomyślałem, że się nią jednak podzielę. To historia związana z moją prababcia, która osobiście zdążyła mi ją opowiedzieć, zresztą nie tylko ja ją usłyszałem, jest dość dobrze znana w całej mojej rodzinie.

Nie byłem świadkiem tych zdarzeń, bo rzecz miała miejsce w ponurych czasach II wojny światowej, a prababcia była wówczas mniej więcej w moim wieku. Od zawsze bardzo kochała zwierzęta, darzyła je dużym szacunkiem i uczuciem, zawsze mawiała, że to są nasi kuzyni. Z pewnością należała do osób, które nie mają większego problemu ze zrozumieniem innych istot. Wychowywała się pośród nich, ponieważ pochodziła ze wsi. Jako młoda

dziewczyna miała liczne obowiązki w gospodarstwie. Opowiadała, jakimi zwierzętami gospodarskimi się zajmowała, pamiętając przy tym imiona ich wszystkich. Jednak o jednym zwierzęciu wypowiadała się ze szczególną estymą i ze łzą w oku. Było to zwierzę zupełnie niepozorne, a mianowicie kogut.

Nie do końca wiadomo, skąd się znalazł w gospodarstwie mojej prababci. Tego przynajmniej nie pamiętam. Już od początku bardzo się wyróżniał. Prababcia podkreślała, że miał nieprawdopodobnie „mądre oczy”, a jego zachowanie było odmienne od typowego dla tego gatunku. Jako młody kogut wcale nie chciał przebywać pośród innych zwierząt w stadzie. Stale kręcił się wokół domu. Szybko stało się jasne, że najlepszym towarzyszem okazała się dla niego moja prababcia. Z czasem można było przywyknąć do niecodziennego widoku, w którym Filuś, bo takie imię otrzymał od babci, pojawiał się tam, gdzie jego towarzysza. Reagował na swoje imię. Stał się nierozłącznym kompanem, tam gdzie babcia, tam i on. Wyrobił sobie też niecodzienne nawyki. Filuś nie szukał pokarmu jak inne kury. Jeśli chciał jeść, a babcia była w domu, zawsze wskakiwał na parapet i dziobał w okno, przypominając o sobie w porze jedzenia. Filuś nie spał też w kurniku, jak na kury przystało. On w ciepłe wieczory sypiał na jabłonce, która rosła przy wejściu do domu; w ten sposób był bliżej ludzi. Jeśli chciał dać coś do zrozumienia, patrzył głęboko w oczy, a przy tym tak potrafił pisać, że podobno nie można było mieć żadnych wątpliwości, o co mu chodzi. Na dowód tego, jak bardzo był przywiązany do prababci, należy wspomnieć, że rzeczą naturalną dla niego była umiejętność łaszenia się, uwielbiał być głaskany i obdarowywany uczuciem.

Takich historii związanych z „koguciem”, jak czasem pieszczotliwie nazywała go prababcia, było jeszcze mnóstwo. Nie chodzi o to, by je wszystkie przytaczać, bo one w zasadzie prowadzą do jednego, niezmiennego wniosku. Z pewnością nie był to typowy kogut. Jego zachowanie wykraczało poza znane schematy. Na uwagę zasługuje silna więź, jaka łączyła go z babcią. Co zresztą potwierdził dalszy los zwierzęcia.

Wspominałem na początku, że to historia z czasów II wojny światowej. To o tyle istotna informacja, że prababcia opowiadała, jak pewnego razu Niemcy pojawili się na podwórku. Była to typowa akcja poszukiwania Żydów. Jak powszechnie wiadomo, każdemu, kto pomagał Żydom, groziła śmierć w tamtych czasach. Prababcia była przerażona, a na dodatek akurat była sama na gospodarstwie. Przebywała na podwórku, oczywiście w jej pobliżu był kogut, a naprzeciwko niej stanął niemiecki żołnierz z bronią w ręku. Był czymś mocno zdenerwowany. Babcia zupełnie nie mogła go zrozumieć, nie wiedziała, dlaczego tak się zachowuje. W jednej chwili wymierzył w prababcię, a kogut zaczął się bardzo mocno miotać i hałasować, zupełnie jakby wyczuł atmosferę strachu.

W tym momencie żołnierz, zamiast w kierunku babci, oddał jeden strzał do zwierzęcia, które nie miało najmniejszych szans na przeżycie.

Ostatecznie prababcia uszła z życiem, ale nigdy nie zapomniała o tych chwilach grozy. Nigdy też nie zapomniała o wyjątkowym zwierzęciu. Dla

jednych mógł to być zbieg okoliczności, dla niej zachowanie tego koguta było zupełnie zrozumiałe i nie wymagało żadnego komentarza.

Pomimo że nie jest to opowieść lekka i wesoła, chciałbym przez nią powiedzieć Wam to, co mówiła moja prababcia, że czasem wbrew pozorom łatwiej jest zrozumieć postawę i zachowanie zwierzęcia niż postawę i zachowanie drugiego człowieka. Natomiast zwierzęta to nasi „bracia mniejsi”, jak pisał św. Franciszek z Asyżu, albo nasi kuzyni, jak mawiała moja prababcia. A skoro tak jest, to uważam, że nie powinniśmy mieć większego problemu z rozumieniem ich. Zapewne potrzebna jest miłość i wrażliwość jako uniwersalny język w takiej komunikacji.

Wyróżnienie

Monika Bąk

Szkoła Podstawowa nr 340 im. prof. Bogusława Molskiego w Warszawie Prawdziwa przyjaźń

Temat tego konkursu jest mi szczególnie bliski. Sprawia, że przypominam sobie o zdarzeniu, które miało miejsce trzy lata temu w Aleksandrowie pod Warszawą. Miałam wtedy niecałe 11 lat i ta przygoda zaskoczyła samą mnie.

To miały być zwyczajne wakacje. Robienie wianków z miejscową koleżanką, którą znam niemal od urodzenia, piłka z dziadkiem, gotowanie truskawkowych konfitur w żeliwnym garnku babci. Moimi jedynymi zmartwieniami miały być obawy, czy danego dnia będzie padać. Tylko jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Kilka razy dziennie dobiegał mnie pisk psa. Pewnego upalnego dnia postanowiłam wyruszyć na spacer po okolicy, by odnaleźć zwierzę.

Na jednej z posesji dostrzegłam drewnianą budę. Podeszłam bliżej. Jej deski były spróchniałe, a kilku w ogóle brakowało. W pełnym słońcu, z prawie pustymi miskami leżał mały pies. Jego sierść była bardzo brudna i wyglądała na szarą. Do obroży miał przyczepiony łańcuch i można było się domyślić, że nie jest dłuższy niż dwa metry. Nietrudno było zauważyć, że stan psa nie jest najlepszy. Widząc właściciela gospodarstwa, który właśnie spokojnie pielł grządki, postanowiłam zapytać, czy ze zwierzęciem wszystko jest w porządku. Starszy pan najpierw udawał, że mnie nie widzi, po czym wyznał, że pies jest mu zupełnie niepotrzebny i tylko przeszkadza mu w pracy. Zrozumiałam wtedy, że nikt nie pomoże zwierzątku w poprawie jego losu. Ze łzami w oczach pobiegłam do domu dziadków i zadzwoniłam do rodziców.

To była chyba najpoważniejsza rozmowa w moim życiu. Mama zgodziła się na adopcję psa pod jednym warunkiem - cała odpowiedzialność za opiekę nad nim miała być po mojej stronie. Wiedziałam, jak wielki to ciężar, lecz jednocześnie czułam ogromną radość. Z bijącym mocno sercem pobiegłam przez zieloną bramę dziadków prosto pod tamten adres. Po minucie byłam na miejscu. Mężczyzna nie wyglądał na zadowolonego, ale wysłuchał mnie. Starzec bez zawahania oddał mi psa, dziwiąc się, że w ogóle ktoś go chce.

Pobieglam z moim nowym towarzyszem do domu dziadków i wykapałam go. Dałam świeżą karmę i ogromną miskę wody.

Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Choć spodziewałam się trudności w adaptacji Marleya w nowym środowisku, żadne problemy nie miały miejsca. Wręcz przeciwnie - chętnie chodził ze mną na spacer, a nawet spał w moim łóżku. Czułam, jakby mieszkał ze mną od zawsze. Rodzice też zakochali się w nim od pierwszego wejrzenia. Trudno było nie uśmiechnąć się na widok jego oklapniętego ucha i jednej czarnej łatki na środku grzbietu.

Niektórzy mówią, że relacje są silne, jeśli trwają długo. Ja spędziłam z Marleyem jedynie dwa lata. Czy to oznacza, że moja rozpacz po jego odejściu była słabsza? Czy ten krótki czas spędzony razem uczynił nas mniej zżytymi? Oczywiście, że nie. Każdy dzień w towarzystwie mojego psiego przyjaciela był czymś niezwykłym. W dwa lata przeżyliśmy więcej niż niejeden opiekun ze swoim pupilem przez kilkanaście. Marley znaczył dla mnie tyle, że do dziś nie jestem jeszcze gotowa na posiadanie nowego zwierzęcia, a na spacerach zawsze oglądam się za siebie, gdy słyszę szczek podobny do jego. Wierzę, że gdzieś tam wciąż biegamy razem po zielonych łąkach, nawet jeśli już tylko we wspomnieniach.

Wyróżnienie

Karolina Jekielek

Szkoła Podstawowa nr 340 w Warszawie

Postanowiłam, że wezmę udział w tym konkursie, po obejrzeniu jednego z programów telewizyjnych. Ten program opowiadał o tym, jak kilku osobników (bo trudno ich nazwać ludźmi) nakarmili pieska środkiem do oczyszczania rur. Jak wiadomo, jest to środek silnie żrący. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, ile wycierpiał ten biedny zwierzak, jak straszny ból musiał czuć! Sama mam w domu psa i kota. Kocham moje zwierzątka najbardziej na całym świecie i nie wyobrażam sobie, że mogłaby stać się im krzywda.

Moja historia ze zwierzętami zaczęła się naprawdę dawno. W zasadzie trwa już pół mojego życia, bo ja mam 14 lat, a Mufka (mój piesek) jest w moim domu już od 7 lat. A tak naprawdę moja przygoda ze zwierzętami zaczęła się jeszcze wcześniej...

Obie z moją siostrą bardzo prosiłyśmy rodziców o psa, ale długo nie chcieli się zgodzić. W końcu mama dała się namówić i znalazłyśmy Łatkę w jednym ze schronisk. Jednak sunia nie była zupełnie przygotowana do adopcji. Przebywała w schronisku zaledwie od trzech tygodni, a wcześniej błąkała się po wsi i wszyscy ją przeganiali. W czasie drogi do „lepszego życia” uciekła od nas na postoję i nie dała nam szans ani na oswojenie, ani na stworzenie jej prawdziwego domu. Wszystkie trzy: siostra, mama i ja bardzo to przeżyłyśmy.

Dlatego mama postanowiła, że znajdzie szczeniaka w Internecie. Oczywiście siostra i ja o niczym nie wiedziałyśmy. Po prostu pewnego dnia rodzice rano wyjechali, jak jeszcze spałyśmy, a jak się obudziliśmy, powiedzieli, żebyśmy poszły posprzątać zabawki w dużym pokoju. Obie

z siostrą byłyśmy bardzo niezadowolone, że w sobotę, tak wcześnie rano, każą nam robić porządki. I to zaraz po wstaniu z łóżka! Gdy weszliśmy do pokoju, w tekturowym pudełku po kukurydzy siedziała nasza najcudowniejsza Mufcia.

Pokochoaliśmy Mufcię całym sercem, jest z nami zawsze i wszędzie, gdy jedziemy do dziadka lub do babci. Wyjeżdża z nami nad morze, chodzi na plażę, nad Wisłę... Uwielbiamy spędzać z nią czas i robić wspólne zdjęcia. Mufcia ma swoje ulubione smaczki, wie, gdzie leżą, i umie o nie ładnie poprosić. Mama mówi, że trzeba spełniać marzenia Mufki, bo przecież nie są skomplikowane. Ona marzy o tym, aby ją przytulić, pogłaskać, czasami podrapać za uchem, a czasami po prostu dać smaczka...

Niedawno, bo pod koniec listopada, pojawiła się w naszym domu Lotka. Historia Lotki też nie jest taka oczywista. Lotka jest kotką, a my z siostrą i mamą jesteśmy (to znaczy byłyśmy) zadeklarowanymi „psiarami”. Moja siostra dowiedziała się, że jej koleżanka ma do oddania małe kotki. Kupiliśmy zatem kuwetę, transporter, miseczki, gdy zadzwoniła do nas pani, od której miałyśmy dostać kotka i powiedziała nam, że ktoś zdecydował się wziąć dwa kocięta naraz. Byłyśmy bardzo smutne i rozczarowane. Już się przygotowałyśmy na nowego domownika, a tu się okazało, że jednak nikt nowy z nami nie zamieszka... Wtedy mama postanowiła, że znajdziemy kotka same. I rzeczywiście, nie było to trudne. Tydzień później jechaliśmy po naszego pierwszego w życiu kotka. Dziadek, jak zobaczył, że kogo wniosłyśmy do domu, złapał się za głowę!

Na początku relacje między Mufką a Lotką były trudne. Lotka syczała na psa, a pies warczał na kota. Ale codziennie na trochę oswajaliśmy zwierzątko ze sobą, aż na końcu socjalizowanie się udało. Dzisiaj Lotka i Mufka wypijają sobie wodę z misek, bawią się ze sobą, a my mamy prawdziwą rozrywkę. Nasz dom jest dzięki naszym zwierzątkom pełen śmiechu. A my jesteśmy już prawdziwymi „kociarami”.

Ale to nie koniec naszych perypetii ze zwierzątkami. Parę tygodni temu, jak wracałyśmy nocą od dziadka, przejeżdżając przez jedną wieś, mama zauważyła na samym środku drogi małego kotka. Nie wiedziałyśmy, czy ktoś go potrącił, czy jest cały i zdrowy. Ale gdyby został sam na środku szosy, nie miałby szans na przeżycie. Mama się zatrzymała, a my z siostrą zabrałyśmy kociaka do samochodu. Śledziłyśmy później ogłoszenia z tej wsi, ale nie było żadnych wiadomości. Kotek okazał się koteczką, śliczną, małą i całkiem zdrową. Nazwałyśmy ją Florka. Myślę, że gdybyśmy wtedy jej nie zabrały - Florka zginęłaby pod kołami samochodu.

Socjalizacja z naszymi zwierzętami trwa dalej. Kocham moje zwierzęta i bardzo się staram, żeby były u nas szczęśliwe. Spełniam ich drobne zachcianki, miziam, daję smaczki. Życie ze zwierzętami jest wspaniałe. One odwdzięczają się mruzeniem, miauczeniem, szczekaniem, merdaniem ogonem. Dzięki nim, szczególnie w czasie pandemii, chce mi się żyć. Nie rozumiem, jak można skrzywdzić drugą istotę? Jak można zadać cierpienie zwierzęciu, które całe jest szczerością i miłością, która jest słabsze i ufa nam?!

Moja praca jest sprzeciwem wobec wszystkich złych ludzi, którzy krzywdzą zwierzęta. Moje są dla mnie rodziną. Gdy patrzę w oczy Mufki, to wiem czy jest wesola i ma ochotę na zabawę, czy ma ochotę poleżeć gdzieś z boku i poobserwować. Uwielbiam, kiedy jest szczęśliwa i się do mnie uśmiecha. W moim psie jest wiele emocji i wszystkie staram się uszanować. Kot często rozrabia. Wspina się po meblach, zrzuca różne rzeczy, a potem się temu przygląda. Ale to właśnie dzięki nim nasz dom ma atmosferę. Wszystkie trzy: ja, siostra i mama bardzo lubimy „Małego Księcia”. Tam jest postać lisa, który opowiada Małemu Księciu co to znaczy „oswoić kogoś”, a oswoić kogoś znaczy być za tego kogoś odpowiedzialnym. Myślę, że mój dom nauczył mnie odpowiedzialności za innych, właśnie dzięki moim zwierzakom. Często im powtarzam, że je kocham, bo tak właśnie jest!

Wyróżnienie

Mikołaj Kusio

Szkoła Podstawowa nr 350 im. Armii Krajowej w Warszawie

Jestem psem i mieszkam na wsi razem z moją Panią i Panem. Wieś ta nie jest ani mała, ani duża. Jest w sam raz dla takiego małego pieska jak ja. We wsi mieszkają również inne zwierzęta. Niektórych z nich nie lubię, na przykład: krów (one bardzo mnie denerwują, ponieważ ciągle muczą, kiedy ja śpię!), bocianów (bocianów nie da się złapać i są bardzo głośne!), no i oczywiście mojego kolegi – kota. Bardzo go nie lubię, ponieważ, jak go zaczepiam i chcę się z nim bawić, to on oczywiście musi się wtedy myć i nie chce się bawić. Ale gdy sam pan kot chce się bawić, to ja wtedy akurat śpię i on tego nie rozumie. Bo jak można spać w nocy?! Według tego nocnego łowcy, dzień jest od mycia się, jedzenia i spania, a noc do bawienia się, łapania myszy i miauczenia.

Ale jest jedna rzecz, którą lubimy robić razem, o tej samej porze. Otóż lubimy jeść. Ja, jako pies, potrzebuję dużo karmy, żeby szybciej rosnąć; ale według innych zwierząt jestem za gruby. A hrabia kot i jego kumple mogą jeść, ile tylko zechcą, i nigdy nie utyją. Ja myślę jednak, że te małe przebiegłe koty ważą więcej niż ja.

Niestety jest jeszcze Pani. Bardzo ją lubię, ale czasami bardzo mnie denerwuje. Na przykład kiedy załatwiam się na kawałku ziemi, który dla mnie zrobiła i zasadziła tam warzywa, żeby mi lepiej pachniało, to moja właścicielka zaczyna krzyczeć wniebogłosy. Ja w ogóle nie rozumiem tych ludzi. Najpierw głaszczą i chwają, a potem dziwnie szczeją, gdy przynosimy im ptaki lub myszy. Taka jest dola biednego psa.

Niektórzy ludzie są bardzo mili. Lubię, gdy przyjeżdżają dzieci. Ogromnie się wtedy cieszę. Ponieważ nie zostają na długo, muszę się z nimi nabawić. Czasami przywożą mi jakieś zabawki albo coś smacznego do jedzenia.

Niestety zdarzają się takie chwile, gdy wszyscy się na mnie gniewają. Na przykład wtedy, gdy wbiegłem rozpędzony w dziewczynkę i oboje się wywróciliśmy. Każdy pytał, czy nic jej się nie stało, a mnie nikt nie zapytał, chociaż łapka bardzo mnie bolała. Wszyscy na mnie krzyczeli, a ja wtedy tylko pędziłem się napić.

Z dziećmi najczęściej bawię się w łapanie kota i zabieranie rękawiczek. Pierwsza zabawa polega na tym, że muszę złapać i wyrzucić kota, a potem się na nim położyć. Jeśli zrobię to bardzo gwałtownie, to kotek zaczyna miauczeć, a moi towarzysze krzyczą: „Zostaw kota!”, chociaż sami wcześniej chcą się w to bawić. W drugiej zabawie chodzi o to, że dzieci biegają, a ja biegam obok nich i co chwilę skacze, żeby złapać rękawiczkę. Często mi się udaje i wtedy mocniej zagryzam zęby na mojej zdobyczy, żeby mi nie upadła, jak będę z nią uciekał. Bardzo lubię też grać w piłkę. Biegnę, tocząc ją nosem. Czasem uda mi się strzelić gola. Ale też czasem przewracam się, bo piłka zapłącze mi się między łapkami. Dzieci mają wtedy wielki ubaw.

Może niekiedy ludzie na mnie krzyczą, ale i tak ich bardzo lubię. Szczególnie Pana, Panią i Mamę dzieci. Wszystkich innych też, ale ich najbardziej. Z dzieci bardzo lubię wysokiego chłopaka i trochę niższego chłopaka. Dziewczynkę też bardzo lubię, lecz troszkę mniej, ponieważ często mnie łapie za obrozę i przynosi rodzicom.

Jestem bardzo małym pieskiem, mam króciutkie łapki i dlatego strasznie trudno jest mi biegać w wysokiej trawie lub w gęstym śniegu. Pewnego razu, gdy spadło dużo śniegu, tata średniego chłopca wrzucił mnie do wielkiej zasy, i gdy próbowałem z niej wyjść, to musiałem zadzierać pyszczek do góry i podnosić bardzo wysoko łapki. Inaczej, gdy jest sucho. Wtedy krótkie łapki przydają się do biegania, ponieważ mogę nimi bardzo szybko przebierać. Duże psy mają długie nogi, więc po prostu stawiają długie kroki, a ja stawiam mniejsze. Gdy moja Pani lub Pan idą do sklepu, ja idę za nimi. Czasami oni tego nie zauważają, dopóki nie zaczną głośno dyszeć ze zmęczenia. Moja Pani często chodzi do innej pani, żeby sobie porozmawiać. Wtedy bawię się z kotami, które tam mieszkają, oraz rozmawiam z wielkim, strasznym, ale i bardzo miłym psem. Wabi się on Barnej i często biega za samochodem swojego pana. Pewnego razu nawet wbiegł na nasze podwórko i razem się ganialiśmy, ale mojej Pani się to nie spodobało i wygoniła mojego kolegę z mojego terenu. Później zaczęła krzyczeć na mnie, choć to nie ja jej powyrywałem kwiatki.

Bardzo mi się podoba moje codzienne życie. Tylko czasami jest trudno, gdy ludzie mnie nie rozumieją. Na szczęście dużo częściej głaszczą mnie, chwalą i bawią się ze mną w moją ulubioną zabawę – bieganie za piłką.

Wyróżnienie

Maja Makuch

Szkoła Podstawowa nr 169 im. Orła Białego w Warszawie

Świat po psiemu

Cześć! Nazywam się Lusi.

Czasem ciężko jest mnie zrozumieć. Nie wiem, czy to dlatego, że ludzie nie zwracają uwagi na coś, co z pozoru wydaje się nieistotne, niezauważalne, nie widzą tego, co chcę przekazać, mogą czegoś nie zauważać długi czas, jeśli im nie powie się wprost. Może to ja robię coś nie tak?

Raz musiałam czekać tak długo, aż Maja przyszła zobaczyć, co się dzieje. Ja jak oszalała jazgoczę, po szybko skaczę. Przecież Edzia na drewnianych paletach siedzi i czeka tylko, żeby ją wypuścić. Kicia, taka bura wywijająca czarnym ogonkiem, aż pysia przyciska do szyby, żeby tylko ją wypuścić, może jeszcze na jakieś przysmaki się załapie. Dłaczego ja nie mogę być kotem? Kocia karma jest taka pyszna i tak cudownie śmierdzi.

Najciekawiej to było, kiedy przyjechała Pani Anita.

Jak tylko weszła, poczułam zapach psów. Jak nic wszystkie zabrałyby mojego gnata. Co prawda zakopałam go gdzieś w kołdrze w łóżeczku Janka, ale i tak (dla zasady) obszczeakałam gościa od samych drzwi, będę broniła swojego stada, póki mi starczy sił.

Pani Anita była bardzo miła, jednak bardzo się bałam. Zawsze, odkąd pamiętam, obcy ludzie wydawali się tacy straszni. Wielcy i przerażający.

Maja, Jan i pani Asia usiedli na kanapie, pani Anita uklękła tuż przy mnie na podłodze.

Strasznie się bałam, a jeszcze gorsze było to, że moją nową nauczycielką patrzyła na mnie cały czas.

Jeszcze bym zapomniała, pani Anita została moją nauczycielką. O tym, że się bałam, wiedział chyba cały Wilanów. Kiedy tylko przechodził jakiś pies, miałam wrażenie, że tak dziwnie na mnie patrzył. Maja twierdzi, że jazgot jest nie do zniesienia, jednak mnie rozumie. Pani Asia, chociaż, co ciekawe, Maja zawsze do niej wołała „mamo”, twierdziła, że nie chciałaby, żebym się tak strasznie stresowała, jak tylko widzę jakiegoś psa.

Odwagi dodawało mi to, że pani Anita w ogóle się nie ruszała. Cały czas pytała się o coś mamy, Maja natomiast podała jej torebkę, która leżała na stole; pachniała cudownie (i Maja, i torebka). Pani Anita wyjęła z niej małe kuleczki mięsne i rozstawiła je dookoła siebie. Teraz tylko na nią patrzyłam, już nie warczałam jak wcześniej. Całą sytuację wykorzystwała Edzia, zaczęła wyjadać smaczki, a później już tylko domagała się drapanka za uchem. Chwilę później przyszedł też Berdzio, drugi kotek. Był większy i szerszy niż Edzia i prawie całkowicie biały. On też polecał za Edzią, która teraz leżała na kolanach „mamy” Mai.

Po jakimś czasie powoli podchodziłam do niej, w końcu bawiłyśmy się w najlepsze. Jednak to nie dla zabawy przyjechała pani Anita. Jej i moje zadanie było znacznie trudniejsze. Musiałam jej zaufać.

* * * * *

Więc idziemy. Niby wszystko super i fajnie, uwielbiam spacerki, zawsze się dużo dzieje i idziemy na pole z bajorkiem. Tym razem jednak było inaczej. Inna smycz i nie moje szelki. Dzisiaj dostałam obrozę, a smycz się nie wciągała. Ciekawe.

Wyszliśmy przed dom i skręciliśmy w ulicę, gdzie często na murku śpi Dakota. Kici właśnie nie było, a szkoda.

Nagle z na przeciwka wyszły dwa psy prowadzone przez dwójkę chłopców. Jeden z psiaków był tyci, mniejszy niż ja, drugi natomiast był karmelowy i wielki, jak góra świńskich uszek w sklepie zoologicznym.

Wszystko jest ok, po prostu sobie pieski idą. Nic się nie dzieje. Z wolna zmniejszał się dystans pomiędzy mną i dwoma czworonogami. I tu już, nie ukrywam, serduszko zaczęło mi troszeczkę szybciej bić. Nie wytrzymałam; gdybym nie szczeękła, to bym nie była Burkiem Zawadowskim, tym Dudelkiem spod czwórki.

- O, dzień dobry! Socjalizujemy Lucynkę, możemy się przyłączyć? – odzywa się pani Anita.

Za co, ja grzeczna będę, tylko nie spacer z nimi. Niestety (cały świat się na mnie uwziął, jak nic), opiekun tego karmelowego psa patrzy na nas taki zdziwiony, jednak się zgadza. Za co, przecież obiecałam, że będę grzeczna... Zresztą, i tak by nie wypaliło. Po powrocie muszę uzgodnić kilka spraw z psem sąsiadów. Ludzie są w ogóle jacyś dziwni. Czegokolwiek bym nie zrobiła, i tak będą niezadowoleni. Jak ja się namęczyłam, bo ja Janowi tego mojego ulubionego gnata zakopałam w kołdrze. A Janek ... Janek go wywalił. Musiałam dalej szukać kryjówki dla gnata, a szkoda, tamta była niezła.

I idziemy. Ten drugi piesek, taki czarny i mały, to tak na mnie dziwnie patrzy. Ja idę sobie elegancko, boczkim chodnika, a ta psinka powoli, pomalutku zachodzi mnie od tyłu. Obwarzalam go.

Na szczęście przy skrzyżowaniu okazało się, że chłopcy z psami szli nad wał Wisły. Pożegnaliśmy się i podziękowaliśmy za spacerek.

- To... W którą stronę iść, żeby spotkać jak najwięcej psów? - pyta się Pani Anita.

Za co! Skręciliśmy w stronę Bruzdowej. Tam spotkaliśmy mnóstwo psów. Za każdym razem to samo „Dzień dobry, socjalizujemy Lucynkę, możemy się przyłączyć?”. I tak poznałam (to znaczy oczywiście obszcękałam) trzy pieski o imieniu Tofik, jednego szesnastoletniego sznauerca, pieska opiekuna, małą szczeękającą chihauę w brązowym sweterku, dwa husky na Psim Polu i dwa beagle. One były najlepsze. Na spacerek chodziły tak jak ja, czuły zew zapachów ze wszystkich stron. Na sam koniec, kiedy właśnie ich mijałam, jeden z nich obskał swojego opiekuna (tak na serio, to dla nich to chyba musiała być norma, bo ich opiekun miał kalosze).

Wracaliśmy już w stronę domu, kiedy zobaczyłam piękną kałużę. Tak cudownie śmierdziała nie wiadomo czym, no i trochę się zgrzałam. Idę sobie, idę i... BACH do kałuży. Jak się w niej wytaplałam, to już mogłam wracać do domciu...

* * * * *

Wróciłam i od razu ległam na sofie. Nie ma to jak leżeć sobie elegancko na kanapie po wychłeptaniu połowy miski wody i wspominać ten cudowny, pełny szczekania spacerek wdychając...

Aleksandra Kopec

Szkoła Podstawowa nr 80 w Warszawie

Zwierzęta też mają serce.

Miłości do zwierząt, w tym psów i kotów, nauczyłam się od mojej mamy. Zwierzęta były zawsze obecne zarówno w jej, jak i w moim życiu. Teraz mamy

cudowną suczkę Kiki, ale wcześniej wychowywałam się z kotami, Druvikiem i Kokosem. Niestety z racji wieku obydwie koty przeszły już na „drugą stronę mostu”.

Mówi się, że dobrego człowieka poznaje się nie tylko po tym, jak traktuje innych ludzi, ale także po tym, jaki ma stosunek do zwierząt. Cesar Millan, znany psi behawiorysta, który m. in. w programach telewizyjnych pomaga ludziom uporać się z problemami w zachowaniu ich psich pupili, napisał w swojej książce pt. „Zaklinacz psów”, że, „...zwierzęta w naszym życiu nie zjawiają się bez powodu: udzielają nam nauk o tym, jak zostać lepszym człowiekiem”. Ja sama czuję, że codzienne obcowanie i wychowywanie się ze zwierzętami wpłynęło na to, że lepiej rozumiem zwierzęta, czuję ich potrzeby i mam w sobie dużo empatii dla naszych zwierzęcych przyjaciół.

Każdemu człowiekowi potrzebne jest do życia jedzenie i picie. Ale oprócz tych podstawowych potrzeb każdy z nas potrzebuje też miłości, bliskości, zrozumienia czy przytulenia. Zwierzęta to też żywe istoty, więc ich potrzeby są bardzo podobne do naszych. Jak wiadomo, nie każdy może mieć w domu zwierzę, nie każdy też powinien. Trzeba pamiętać o tym, że zwierzęta udomowione, takie jak psy i koty, nie zawsze potrafią poradzić sobie same na wolności. Szczególnie te zwierzęta, którym nie dane było mieć prawdziwy i kochający dom, potrzebują naszej pomocy. Dlatego kiedy tylko mogę, staram się pomagać zwierzętom na różne sposoby.

Najbardziej w pamięci zapadła mi historia sprzed kilku lat. Kilka gorących letnich dni spędzałyśmy z moją babcią u cioci na działce, około 30 km od Warszawy. Jak co dzień postanowiłyśmy przejść się na spacer do lasu. Po jakimś czasie, gdy już postanowiłyśmy wracać na działkę, usłyszałyśmy piski. Po chwili poszukiwania znalazłyśmy 4 szczeniaczki, które strasznie piszczały, były zabiedzone i wyglądały na bardzo głodne i odwodnione. Wszystko wskazywało na to, że te maleństwa od dłuższego czasu nic nie jadły i nie piły. Najwyraźniej ich mamie coś się stało i nie była w stanie wrócić do swoich dzieci i się nimi zaopiekować. A może ktoś z premedytacją wyrzucił je do lasu? Dałyśmy im do picia wodę, którą miałyśmy ze sobą i resztkę kanapki. Jednak nie chciałyśmy zostawić tych maleństw na pewną śmierć. Zadzwończyłyśmy do mojej mamy, która była w Warszawie i która wyszukała numery do najbliższego schroniska i innych służb. Niestety nikt nie był gotowy przyjechać po te zwierzęta. Po krótkim namyśle wzięłyśmy psiaki pod pachę, do torby i tak jak stałyśmy wyruszyłyśmy na przystanek i pojechałyśmy do najbliższego miasteczka. Tam starałyśmy się, niestety bezskutecznie, znaleźć pomoc dla zwierzątek w Urzędzie i nie tylko. W końcu udało nam się oddać dwa pieski w dobre ręce, a mama uprosiła telefonicznie panią ze schroniska, aby przyjechała po dwa pozostałe psiaki. Wróciłyśmy na działkę po kilku godzinach, zmęczone i głodne, ale szczęśliwe, że udało nam się uratować te bezbronne szczeniaki. Mam nadzieję, że dobrze im się wiedzie.

Po tamtej sytuacji rozumiałam, że wystarczy odrobina dobrej woli, żeby zrobić coś dobrego i pożytecznego dla zwierząt. Nawet mały gest może mieć ogromne znaczenie. Dlatego co roku, kiedy nasza szkoła organizuje np. Akcję

Kundel, staram się przynieść rzeczy, których zwierzaki potrzebują. W tym roku, gdy jedna z nauczycielek ze szkoły zorganizowała pomoc dla psów i kotów ze schroniska na Paluchu, udało nam się zrobić akcję zbiórki jedzenia, kocy i zabawek wśród sąsiadów z naszej klatki. Okazało się, że ludzie bardzo chętnie pomagają, wystarczy ich tylko zachęcić. Ludzie pomagają z potrzeby serca, a czasem także dlatego, że pomagając, czują się lepsi, bardziej potrzebni. Niezależnie od motywacji pamiętajmy o tym, że zwierzęta są naszymi najlepszymi, najwierniejszymi przyjaciółmi i za to należy im się nie tylko pełna miska, ale też nasza miłość, oddanie i szacunek.

Niedługo, 22 maja, będziemy obchodzić Dzień Praw Zwierząt. Nie tylko tego dnia, ale też każdego innego dnia pamiętajmy, że zwierzęta to żywe istoty, które myślą i odczuwają nie tylko radość, ale i cierpienie. Kochajmy je, opiekujmy się nimi i nigdy nie pozostawajmy obojętni na krzywdy wyrządzane zwierzętom.

„Kiedy patrzę w oczy zwierzęcia, nie widzę w nich zwierzęcia. Widzę istotę żywą. Widzę przyjaciela. Czuję duszę.”

A.D Williams

Alicja Skobel

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Był zwykły dzień jak co dzień. Nie działo się nic wartego zachwytu. Właśnie wracałam z naszym psem Barym ze spaceru, na który kazała mi pójść moja mama. Zrobiła to, abym nie siedziała cały dzień w domu. Znowu zdenerwowałam się na Barego. Okropnie ciągnął na smyczy i w dodatku nie wykonywał moich poleceń na spacerze.

Weszłam wściekła do domu i rzekłam :

- Głupi pies. Nie słuchasz mnie! Nie robisz nic, co do ciebie mówię!

- Co się stało? – zapytała przejęta mama.

- Zachowanie Barego na spacerach jest skandaliczne. Nigdy więcej już go nie wyprowadzę – dodałam pośpiesznie.

Energicznie poszłam do pokoju i usiadłam na łóżku. Załamalam rękę, a po chwili naprzeciwnie mnie siedział nie kto inny jak Bary. Nasz pies miał 5 lat, ale wciąż tryskał szczenięcym temperamentem. Znaleźliśmy go, jak był szczeniakiem, w pudle niedaleko naszego domu. Do dziś nie znamy dokładnie jego przeszłości. Jedyne, czego się dowiedzieliśmy u weterynarza, to to, że Bary ma charakterystyczne cechy wyglądu, jak i usposobienia owczarka belgijskiego i białego owczarka szwajcarskiego. To znaczy, że jest mieszańką tych dwóch ras. Z wyglądu przypomina mi bardziej owczarka belgijskiego. Odznacza się płowym umaszczeniem sierści z czarnym nalotem na pysku i długimi, sterczącymi uszami. Za to z charakteru całkowicie utożsamia się z białym owczarkiem szwajcarskim. Uwielbia ludzi i psy oraz jest cierpliwy. Jedyne, co nie zgadza mi się z jego wyglądem i charakterem, to jego niebieskie oczy, którymi wszystkich hipnotyzuje. Jak się w nie patrzy, ma się wrażenie, jakby znalazło się w innej rzeczywistości. Spojrzałam na niego, a Bary na mnie swoimi czarującymi oczyma. Rozmyślałam na głos:

- Co się tak patrzysz? Ciekawe nad czym się tak zastanawiasz?

Moje rozmyślenia przerwała mama, która wołała wszystkich na kolację. Do końca tego dnia nie robiłam nic nadzwyczajnego. Zjadłam kolację, ogarnęłam się i poszłam spać. Następnego dnia obudziłam się dość późno rano. Wiedziałam, że rodzice będą na mnie zli, bo zasnęłam do szkoły i raczej już do niej nie pójdę. Na początku wszystko było tak jak zawsze. Mama i tata pojechali do pracy, a brat do szkoły. Zostałam sama w domu. Zeszłam na dół usiąść i zjeść śniadanie, gdy nagle usłyszałam nieznanego dotąd głos:

- Znowu zasnęłaś i nie poszłaś do szkoły.

Szybko obejrzałam się dookoła, ale nie zauważyłam nikogo. Pomyślałam, że się przesłyszałam, więc dokończyłam śniadanie i chciałam wstać od stołu. Lecz dotknęłam kogoś i ten ktoś powiedział:

- Ałaa. Mogłabyś trochę uważać. Próbuję sobie pospać.

- Przepraszam – odpowiedziałam instynktownie.

Znowu się obejrzałam, przetałam oczy, ale ponownie nikogo nie zobaczyłam. Ten ktoś jednak mnie widział i zaczął:

- Nie musisz przepraszać, i tak ci wszystko wybaczam. Zaraz, ty mnie rozumiesz?

- Tak – zaczęłam się bać. – Ktoś ty?

- Jak to kto. To ja, twój pies Bary.

Nagle faktycznie zobaczyłam, jak spod stołu wyłania się Bary. Zamarłam. Stałam jak sparaliżowana. Nie mogłam nic powiedzieć, wreszcie wykrztusiłam:

- To niemożliwe.

- Zapewne tak, przynajmniej wreszcie mnie rozumiesz – dodał, w ogóle tym nieporuszony.

- Jak to się stało? Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie.

- Widzisz, i tym my psy się właśnie od was różnimy. Bierzemy i korzystamy z chwil, które daje nam świat, nie zastanawiając się nad ich sensem. Za to wy ludzie nie potraficie tego robić. Zamiast tego ciągle zadajecie sobie pytania i analizujecie, dlaczego coś się dzieje tak, a nie inaczej.

- Co ja mam teraz zrobić?

- Możesz spróbować mnie zrozumieć i zobaczyć, jak wszystko wygląda z mojej perspektywy – powiedział zachęcająco.

- W sumie dlaczego nie?

Na początku nakarmiłam Barego, przecież nie może chodzić głodny przez cały ten długi dzień, który zapowiadał się intensywnie. Jednak ku mojemu zdziwieniu Bary zjadł, wstał powoli i położył się na swoim legowisku. Zasnął. Miałam trochę czasu dla siebie. Strasznie mi się nudziło. Już miałam obudzić Barego, aby z nim porozmawiać, ale starałam się go zrozumieć i postanowiłam dać mu czas odpoczynku. Nie musiałam długo czekać, aż Bary się obudzi. Przyszedł do mnie i poprosił mnie o wyjście z nim na spacer. Nie mogłam mu odmówić, szczególnie że spoglądał na mnie swoimi czarującymi oczami. Wbrew mojemu przekonaniu na spacerze bawiłam się świetnie. Spacerowałam z nim po naszych ulubionych miejscach. Zrozumiałam, że Bary

ciągnie, bo potrzebuje się wybiegać. Odpięłam go ze smyczy i porzuciłam mu piłkę. Sprawiało mu to tyle radości, tak samo jak mnie. Powoli coraz bardziej zaczęłam rozumieć styl bycia Barego i niektóre jego nieznośne zachowania. Po powrocie ze spaceru dałam mu jeść, bo zrobił się głodny. Położyłam się wygodnie na łóżku, a Bary koło mnie. Delikatnie przejeżdżałam palcami po jego mięciutkiej sierści. Było mi dobrze, jak jeszcze nigdy. Leżeliśmy tak aż do momentu, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. To musiała być mama wracająca z pracy. Chciałam jeszcze chwilę pobyć sama z Barym. Usiedliśmy naprzeciwko siebie, a on powiedział :

- Kocham cię, kochałem i zawsze będę kochać.

- Ja ciebie też, Bary – oznajmiłam i, nie wytrzymując ze wzruszenia, popłakałam się.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek go tak pokocham. Nagle znalazłam się na łóżku w moim pokoju. Okazało się, że to wszystko mi się przyśniło.

Z tego snu tyle się dowiedziałam, nauczyłam i wywnioskowałam. Uświadomiłam sobie, że naprawdę mocno kocham Barego i muszę starać się zrozumieć nie tylko jego, ale wszystkich dookoła. Od tego przeżycia spędzam jak najwięcej czasu z Barym i moją rodziną.

Alicja Wichniak

Szkoła Podstawowa nr 300 im. Wandy Rutkiewicz w Warszawie Jelonek

Zdarzyło się to zimą zeszłego roku. Byłam na feriach zimowych w górach u swojego wujka. Codziennie jeździliśmy na nartach lub chodziliśmy na wędrownki górskie. Podczas jednej z dłuższych wycieczek zdarzyło się coś nieoczekiwanego.

Zapadał już zmrok, a ja z wujkiem wracaliśmy z długiego spaceru. Na dworze było zimno, a my byliśmy już bardzo zmęczeni. Nagle pośród świerków i innych drzew usłyszeliśmy szelest. Z początku myśleliśmy, że to tylko wiatr, ale potem usłyszeliśmy jakieś jęki. Wujek kazał mi zostać w miejscu, a sam poszedł sprawdzić, skąd dobiegał hałas. Po chwili dał mi znak ręką, żebym do niego podeszła. Okazało się, że w krzakach leżał mały jelonek ze zranioną nóżką. Wyglądał na bardzo wycieńczonego i przerażonego. Kiedy zobaczył, że na niego patrzmy, zaczął przeraźliwie piszczeć oraz miotał się na wszystkie strony. Widzieliśmy, że rana jest dość duża, a śnieg wokół nogi był zabarwiony na czerwono. Zdecydowaliśmy, że zadzwonimy po pomoc, bo inaczej jelonek mógłby nie przeżyć. Wujek wyciągnął telefon, ale niestety w lesie nie było zasięgu. Staliśmy bezradnie przez minutę, nie wiedząc co zrobić. W końcu wujek powiedział, że pobiegnie do domu i zadzwoni po pomoc, a ja mam zostać i pilnować jelonka. Tak więc zrobiliśmy. Gdy wujek zniknął mi z oczu, popatrzyłam na jelonka, który wciąż był wystraszony i drżał z zimna. Widziałam, że nie jest dobrze i że jeśli wujek nie dotrze z pomocą na czas, to może stać się coś okropnego. Postanowiłam zrobić coś, co mogłoby trochę pomóc. Zdjęłam z siebie ciepłą kurtkę i zbliżyłam się do jelonka. Wiedziałam, że muszę być ostrożna i delikatna, więc na początku dałam mu do powąchania

swoją rękę, żeby znał mój zapach. Jelonek powąchał moją rękę i lekko dotknął mnie swoim zimnym nosem. Poglaskałam go delikatnie po głowie i otuliłam go kurtką. Widziałam, że z jego nogi wciąż wylewa się dużo krwi, więc zdjęłam szalik i obwiązałam nim ranę, żeby zatamować krwawienie.

Minęło pół godziny, a wujka nadal nie było. Było już całkiem ciemno i zaczynałam się martwić. Było mi bardzo zimno, ale nie mogłam zabrać kurtki jelonkowi, on potrzebował jej bardziej ode mnie. Jelonek trząsł się jeszcze bardziej, a szalik przesiąkł już krwią. Powoli zaczynałam już tracić nadzieję, a łzy same zaczęły mi napływać do oczu. Nagle usłyszałam warkot silnika. To był wujek z ekipą ratowniczą oraz weterynarzem! Odsunęłam się od jelonka, żeby zrobić miejsce ratownikom. Pan weterynarz zdjął szalik z nogi jelonka i przyjrzał się ranie. Powiedział, że prawdopodobnie został postrzelony przez myśliwych, ale dzięki nam ma szansę na przeżycie. Ratownicy delikatnie przenieśli jelonka na nosze, a pan weterynarz zdezynfekował i opatrzył ranę. Pojechaliśmy do kliniki, gdzie weterynarz mógł dokładniej zbadać jelonka, a ja dostałam ciepły koc oraz gorącą herbatę. Po godzinie razem z wujkiem pojechaliśmy do domu, ponieważ było już późno, a jelonek został w klinice. Po tygodniu jelonek był już zdrowy i mógł chodzić, ale musiał zostać odwieziony do azylu dla dzikich zwierząt, bo nie był jeszcze w stanie wrócić do lasu. Byłam bardzo szczęśliwa, że udało mi się ocalić jelonka. Pani z azylu powiedziała, że mogę go odwiedzać, kiedy tylko będę chciała, i że mogę mu nawet nadać imię!

Tak właśnie kończy się historia Śnieżynka (bo tak nazwałam jelonka) oraz moja. Nigdy nie zapomnę tych ferii zimowych i zostaną one na zawsze w moim sercu.

Anna Listopadzka

Spoleczna Szkoła Podstawowa nr 10 STO im. kard. Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Wspólny język z pupilami

Zwierzę może zostać twoim najwierniejszym przyjacielem, wystarczy okazać mu trochę zaufania. Trzeba jednak pamiętać, że ma ono takie same uczucia jak my. Decydując się na psa, kota, królika czy świnkę morską, bierzesz odpowiedzialność na całe życie, może nie swoje, ale na pewno jego. Będzie twoim druhem, ale i ty nie możesz go opuścić. Każde zwierzę ma uczucia takie jak człowiek. Odczuwa żal, smutek, rozpacz po utracie przyjaciela. Dlatego tak ważne jest nieopuszczanie swoich pupili. Słyszymy o przypadkach, w których najczęściej pies, po utracie opiekuna zaczyna chorować, co doprowadza do jego śmierci. Z tego właśnie powodu ważne jest dbanie o więź, jaką nawiązałeś ze zwierzęciem.

Przy uczeniu różnych sztuczek trzeba pamiętać, że pupil, tak jak człowiek, ma swoje ograniczenia. Nie możesz zmusić go do zrobienia czegoś, czego nie potrafi. Ty też nie stanąłbyś na rękach, gdybyś nie umiał. Potrzebowałbyś poćwiczyć na początku przy ścianie. Jest to tak samo trudne jak niektóre komendy, których chcemy nauczyć zwierzaka. W takich wypadkach nie powinniśmy krzyknąć na niego tylko stopniowo uczyć jak to

wykonać. Wiem, że czasami chcielibyśmy, żeby zwierzę umiało wszystko. Nie warto się zasmucać, tylko cierpliwie czekać i stopniowo je uczyć.

Mam dwa króliczki. Na początku nikogo nie słuchały, teraz przychodzą, jak je zwołam, i przytulają się. Wystarczyło trochę cierpliwości i poświęcenia.

Pupil będzie ci wdzięczny, jak nie będziesz na niego krzyczeć. Czasami zwierzaki doprowadzają nas do szału, nie słuchają nas, demolują pokój. Masz ochotę krzyknąć, żeby wyładować emocje. Też czasami mi się to zdarza. Warto jednak właśnie wtedy wziąć głęboki oddech i stanowczo, ale nie krzycząc, kazać mu usiąść. Nie zawsze cię posłuchają, ale krzyk też by niczego nie zdziałał.

Pamiętaj, iż pupil ma jak najlepsze intencje, niczego nie robi ci na złość. Nie chce dołożyć ci pracy, bałaganiąc w pokoju, on nie wie, że tak nie powinien robić. Chce się pobawić i to wszystko. Najlepszym rozwiązaniem jest danie zwierzakowi miejsca, w którym może się wyszaleć.

Wzajemne zrozumienie ułatwi wam wspólna zabawa lub „trening”. W czasie chwil spędzanych z pupilem nauczysz go zaufania do ciebie i paru podstawowych komend, które na pewno pomogą w przypadkach szaleństwa zwierzaka. Takimi są na przykład: „spokój”, lub w przypadku psów „siad”, może być też wiele innych, ale ta jest chyba najłatwiejsza i najbardziej podstawowa.

Przy wydawaniu komend warto zachować spokój, i mówić stanowczo, ale nie krzycząc. Tak powiedziany rozkaz będzie najlepiej odebrany przez zwierzaka.

Pupil, tak jak człowiek, ma swoje potrzeby. W zależności od gatunku zwierzaka są one różne. Pies potrzebuje parę razy dziennie wychodzić na spacer, kot natomiast woli zostać w domu. Spacer to nie jest wyjście przed dom, ale pójście do parku lub chociaż przejście się po okolicy. Królik musi być na parę godzin dziennie wypuszczony z klatki, natomiast świnka morska może być poza małym wybiegiem zaledwie kilka minut lub wcale.

Zrozumienie dla zwierzaka jest najważniejsze. Moi dziadkowie od zawsze mieli psy. Ich ostatni pies wymaga wyraźnie czegoś innego niż pozostałe. Kiedy nikogo nie ma w odwiedzinach, psiak zachowuje się zupełnie inaczej niż jak my przyjeżdżamy. Wtedy zwierzak zaczyna wariować, skakać na wszystkich, i jednocześnie co chwila warczy. Nikt nie potrafi go zrozumieć. Dziadkowie próbują go czegoś nauczyć. Widać pewną zmianę w jego zachowaniu, ale zaczął się uspokajać dopiero gdy zamiast na niego krzyczeć próbowaliśmy go uspokoić i zrozumieć, dlaczego się tak zachowuje. Jeszcze długa droga do całkowitego zrozumienia, ale jest już dużo lepiej.

Znalezienie wspólnego języka z naszymi zwierzakami jest kluczowe do nawiązania silnych więzi między nami. Z jednej strony my trenujemy naszych milusińskich, z drugiej – oni przyzwyczajają nas do swoich zwyczajów. W ten sposób okazujemy sobie wzajemne zrozumienie. Mówi się, że właściciel upodobia się do swojego pupila i jest w tym dużo prawdy. Zwierzę też przejmuje część naszych zachowań, a na pewno emocji. Odpowiedzialność za naszego małego przyjaciela to na szczęście nie tylko obowiązki, ale też dużo radości i przyjemności.

Myślę, że tak jak w psie moich dziadków, tak samo i w innych zwierzętach, dzięki naszemu zaangażowaniu zmiana nastąpi. Jak w człowieku, tak i w pupilu jest możliwa. Dzięki zrozumieniu pies, kot czy królik nie tylko będzie posłuszny, ale też może nabrać do nas bezgranicznego zaufania. Jak tak się stanie zyskasz najwierniejszego przyjaciela na całe życie.

Anna Szymańska

Szkoła Podstawowa nr 92 w Warszawie

Nierozawalna więź

Do końca roku szkolnego pozostały tylko trzy dni i sama myśl o tym sprawiła, że na mojej twarzy pojawił się uśmiech, a serce mocniej zabiło. Słowo *wakacje* wywołało u mnie dreszcz emocji i zwiększyło poziom wytwarzanej przez mój organizm adrenaliny. Co roku wyjeżdżamy z rodzicami i moim pieskiem Amorkiem nad morze. Muszę przyznać, że bardzo lubię ten wspólnie spędzany czas, gdyż są to NASZE chwile. Lubimy razem spacerować, zwłaszcza gdy wiatr nas chłodzi, a słońce zaznacza swoje istnienie, pozostawiając na naszej skórze złotą opaleniznę.

Na dworze już od rana panował upał. Słońce kierowało swoje promienie na wszystko i wszystkich, którzy byli w ich zasięgu. Ptaki radośnie ćwierkały, dzieci śmiały się, a owady głośno bzyczały, jakby również chciały zwrócić na siebie uwagę.

Po powrocie ze szkoły przywitałam się z moimi domowymi zwierzętami, a potem weszłam do domu. Panował w nim dziwny nastrój. Rodzice wydawali się jacyś inni.

– Dlaczego jesteście tacy smutni? Dziwnie się zachowujecie. Czy coś się stało? – zapytałam.

– Musimy porozmawiać, córeczko – powiedziała mama. – Stało się coś, o czym musimy Ci powiedzieć. Twój piesek...

– Co mój piesek? Gdzie jest Amorek! – przerwałam podniesionym głosem.

– Amorek wybiegł na ulicę i...

– I... co?!... Co chcesz mi powiedzieć, znowu podniosłam głos.

– Twój piesek nie żyje. Został uderzony przez samochód i nie udało się go uratować.

Patrzyłam na moich rodziców, nie rozumiejąc wypowiedzianych przez nich zdań. W moich uszach brzmiały tylko słowa: „Twój piesek nie żyje.”

Wybiegłam z domu do pobliskiego lasu, w którym często spędzałam z nim wolny czas. Gdy dobiegłam do polany, rzuciłam się na mech i zaczęłam krzyczeć, a potem przeraźliwie płakać. Dlaczego ode mnie odszedłeś? Przecież tak bardzo Cię kocham! Gdzie jesteś, mój mały przyjacielu?

Nie byłam w stanie pójść na zakończenie roku szkolnego. Nie chciałam pytań, uzalania się nade mną i pocieszania. Moim światem stał się las i otaczająca mnie przyroda. Tutaj znajdowałam ukojenie. Oczywiście nie chciałam jechać nad morze, bo bez mojego pieska wszystko straciło sens. Świat przestał mieć jakiegokolwiek barwy. Był czarno-biały.

Pewnego dnia usłyszałam w lesie dźwięk, którego nie mogłam rozpoznać. Poszłam w jego kierunku i nagle zauważyłam małego jelonka leżącego obok łani. I wtedy promienie słońca przedostały się przez koronę drzew i oświetliły to miejsce. Byłam niezwykle poruszona tym obrazem. Pomyślałam, że to znak od mojego Amorka. Przyglądałam się tej scenie przez chwilę i dostrzegłam, że łania nie porusza się i nie daje żadnych oznak życia.

Patrzyłam na to maleństwo i wiedziałam, że cierpi. Ja nadal opłakiwałam swojego pieska. Czulałam jego ból i było mi bardzo przykro. Delikatnie owinęłam zwierzątko w swoją bluzę i zaniiosłam je do domu. Zrelacjonowałam tacie całe zajście. Powiedział, że zajmie się sprawą. Był przecież leśniczym.

Bursztynek, bo tak nazwałam mojego podopiecznego, nie umiał chodzić. Wymagał opieki i pomocy. Był zdany na pomoc innej osoby, oczywiście na moją pomoc. Czulałam, że nie przez przypadek znalazł się na mojej drodze życia, że to znak od mojego ukochanego pieska. Tata wyraził zgodę, abym się zaopiekowała Bursztynką. Byłam w siódmym niebie!

Karmiłam go mlekiem z butelki kilka razy dziennie. Głaskałam go, czule do niego mówiłam, bawiłam się z nim i obserwowałam, jak rośnie. Bursztynek rozpoznawał mnie i żywo na mnie reagował. W zasadzie przebywałam z nim przez cały czas. Dzięki dogłębnej obserwacji nauczyłam się rozpoznawać jego potrzeby. To nieprawda, że tylko mową można się porozumiewać. Jego oczy wyrażały wiele emocji. Dostrzegłam w nich radość, szczęście, smutek i zagubienie. Bursztynek bardzo dobrze rozumiał, co do niego mówię. Często opowiadałam mu o Amorku, o mojej tęsknocie za nim i o tym, jak bardzo jest mi bez niego smutno. Czasami miałam wrażenie, że jelonek to mój piesek, gdyż zachowywał się do niego bardzo podobnie. Często liżał moją twarz albo spływające łzy. Kładł się obok mnie i wtulał we mnie swój pyszczek. Wąchał moje włosy i łaskotał w ucho. Ja drapałam go za uszkiem lub po grzbiecie, bo wiedziałam, że bardzo to lubi. Czasami kładł głowę na moim ramieniu i wspólnie zastygaliśmy w bezruchu. Znałam jego przyzwyczajenia, preferencje jedzenia, ale też wiedziałam, kiedy się boi, kiedy czuje się zagrożony i jak reaguje na takie sytuacje. Może trudno w to uwierzyć, ale z czasem jelonek, tak jak Amorek, nauczył się bezbłędnie odczytywać moje niewerbalne komunikaty. Wystarczyło, że na niego spojrzałam, a wiedział, że musi przestać wykonywać daną czynność, lub czuł się przeze mnie zaproszony do wspólnych zabaw i na jego pyszczku dostrzegłam uśmiech. Nauczyłam się rozpoznawać jego potrzeby i nie ukrywam, że w relacjach z nim wykorzystałam swoje doświadczenia z Amorkiem. Wiedziałam, że gdy ma suchy nos, może być chory, że kręcąc się wokół moich nóg, chciał wyjść na zewnątrz, a gdy próbował stanąć na dwóch kopytkach, oznaczało to kłopoty, bo łasuch poszukiwał ulubionych smakołyków, zrzucając przy tym znajdujące się na stole przedmioty. Potrafił przynosić miseczkę albo chwycił ją w mordkę, gdy chciało mu się jeść albo pić. Nie chciałam zastępować mu mamy, bo wiem, że nikt i nigdy jej nie zastąpi, ale chciałam być dla niego przyjacielem.

Czułam, że Bursztynek mnie kocha, i z całą pewnością on też czuł, że jest kochany. Bo miłość to skarb, to rozumienie drugiej istoty, czucie jej, to tolerancja, akceptacja i wybaczenie. Miłość to otwarte ramiona lub łapki, to śmiech, łzy i poczucie nierozdzielnej więzi pomimo przeciwności losu. To każdy gest, który ma w sobie emocje płynące prosto z serca - nawet takie jak liźnięcie językiem po twarzy.

Rodzice czasami robili nam zdjęcia z ukrycia, o których dowiedziałam się po roku, kiedy okazało się, że jelonek odnalazł swoją miłość i jest gotowy budować swój własny świat. Mieliliśmy szczęście, że w tej tragedii, której wspólnie doświadczyliśmy, odnaleźliśmy się, i zaprzyjaźniliśmy. Zdobyliśmy informacje o sobie nawzajem, dzięki czemu zaczęliśmy rozumieć drugą istotę.

Dzięki Bursztynkowi i Amorkowi zrozumiałam swoje powołanie. Wiedziałam, że swoją przyszłość muszę ukierunkować na pracę ze zwierzętami, które z różnych powodów utraciły dom i swoich najbliższych.

Bursztynek pobiegł za głosem serca, ale nie powiedziałam mu: "Żegnaj". Patrząc w jego oczy, wyczytałam rozdarcie i zrozumiałam, że miłość możemy czuć nie tylko do ludzi, ale też zwierząt. Uświadomiłam sobie, że z Amorkiem i Bursztynkem związana jestem niewidzialną nicią, którą widzimy tylko my i nikt nie jest w stanie jej zerwać. Nie ma znaczenia, gdzie ktoś w danej chwili przebywa.

– Do zobaczenia jelonku – powiedziałam i łza spłynęła mi po policzku.

Tydzień później dostałam pieska – małego kundelka, którego nazwałam Rubik. d raz go pokochałam, tak jak wciąż Kocham Amorka i Bursztyнка.

Zrozumiałam, że życie dzielone z czworonogami ma sens i smak. Amorek nauczył mnie wrażliwości, empatii i okazywania uczuć. Bursztynek pomógł mi pogodzić się ze stratą Amorka i uświadomił mi, że dzikie zwierzęta w pewnym momencie opuszczają opiekunów, chociaż są z nimi związane. Teraz kolej na Rubika. Czas pokaże, czego się od siebie nauczymy.

Emilia Górka

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Zdałam maturę z bardzo dobrymi wynikami. Od dziecka marzyłam, aby pójść na medycynę. Niestety, w moim małym miasteczku nie było żadnych większych uniwersytetów, więc musiałam opuścić mój dom rodzinny i rozpocząć nowe życie w dużym mieście. Na początku było ciężko, ponieważ, wyprowadzając się od rodziców, nie chciałam brać od nich żadnych pieniędzy, jako że nie byli oni zbyt bogaci. Zaczęłam więc sama pracować na siebie jako kelnerka w pobliskiej restauracji. Pieniądze nie były duże, ale starczało mi na mieszkanie. Ciężko było mi pogodzić pracę i studia. Były noce, kiedy w ogóle nie spałam, aby uczyć się na egzamin. Mieszkanie, które wynajmowałam, było dość skromne. Składało się z tylko jednego małego pokoju, połączonego z kuchnią i niedużą łazienką. Mieszkałam w bardzo nieciekawej okolicy, gdzie największą zagadką był mój sąsiad. Wszyscy inni mieszkańcy bloku się go bali. Prawie nigdy nie wychodził ze swojego mieszkania. Od innych sąsiadów słyszałam, że jest wdowcem i ma 50 lat . Po śmierci żony bardzo się zmienił na

gorsze. Gdy się wprowadziłam, chciałam z grzeczności przyjść i poczęstować go moim ciastem, tak jak resztę sąsiadów. W drzwiach zobaczyłam wysokiego mężczyznę. Był ubrany w biały podkoszulek i dresy.

- Dzień dobry - powiedziałam

- Dzień dobry, czego chcesz? - odpowiedział od niechcena.

- Jestem tutaj nowa, chciałabym pana poczęstować moim ciastem, żeby się zapoznać.

Po tych słowach sąsiad zamknął mi drzwi przed nosem. Czulałam się bardzo dotknięta i rozczarowana, więc wróciłam do swojego mieszkania. Następnego dnia dowiedziałam się, że w bloku mieszka również jego siostra, więc postanowiłam ją odwiedzić. Gdy wróciłam z pracy, udałam się do jej mieszkania. Zaczęłyśmy rozmawiać i opowiedziałam jej wczorajszą sytuację. Na to ona odpowiedziała mi:

Waldemar (bo tak miał na imię) od dawna nie ma kontaktów z ludźmi, po śmierci żony. Jedyne istoty, z jakimi się komunikuje, to dwa koty, które jego żona kochała, lecz on nie za bardzo. Dwa dni temu u niego byłam i jeden z kotów podszedł do niego. Gdy zaczął się ocierać o jego nogi, ten uderzył go w głowę i z całej siły odepchnął, aż kot zapiszczał. Powiedziałam mu, żeby tak nie robił, lecz on nic nie odpowiedział”. Po tych słowach stwierdziłam, że wrócę do swojego mieszkania, ponieważ dłużej nie wytrzymałabym słuchania tak drastycznych historii. Gdy przechodziłam obok mieszkania pana Waldemara, usłyszałam głośne miauczenie, ponieważ jego drzwi zostały uchylone. Postanowiłam zajrzeć do środka. Zobaczyłam przerażający widok. Sąsiad trzymał za skórę przy karku oba koty. Oba miauczały z bólu, lecz i tak oprawca nic sobie z tego nie robił. Później zrzucił koty na podłogę i wyszedł na chwilę do swojej kuchni. Ja, która widziałam to wszystko, stałam jak wryta. Trzęsły mi się ręce a w oczach miałam łzy. Natychmiast sięgnęłam do kieszeni po telefon i zadzwoniłam na 112:

- Operator 54, w czym mogę pomóc? - powiedziała operatorka

- Dzień dobry, nazywam się Emilia Górka, chciałabym zgłosić znęcanie się nad zwierzętami.

- Proszę powiedzieć, co się dokładnie stało.

- Wracałam do domu i zauważyłam, że mój sąsiad ma niezamknięte drzwi i usłyszałam miauczenie, które stamtąd dobiegało. Zauważyłam, jak sąsiad szarpie i zrzuca koty z hukiem na ziemię, teraz jest w już skończyłam, wrócił sąsiad. Miał w ręku długi drewniany patyk. Natychmiast powiedziałam o tym operatorce.

- Proszę nie panikować, zaraz przyjedzie policja i się tym zajmie. Nie może pani podchodzić do sąsiada, ponieważ może się pani stać jego następną ofiarą - odpowiedziała operatorka.

Po chwili przyjechała policja i zabrała go. Przyjechał też weterynarz dla kotów. Na szczęście nic im się nie stało. Koty były prześliczne. Jeden był cały czarny, a drugi cały rudy. Stwierdziłam, że wezmę je pod swoją opiekę, ponieważ zawsze marzyłam o kotach. Od razu po opatrzeniu przez doktora

zabrałam je do swojego mieszkania. Przez cały wieczór chowały się po kątach, ale gdy nadchodził czas karmienia, oba przyszły z wielką chęcią.

Minął już rok od tego wydarzenia. Koty się już do mnie przyzwyczyły, wynajmując większe mieszkanie, a pan Waldemar został skazany na 2 lata i koty zostały mu odebrane i przypisane mnie. Naprawdę nie wiem, jak można nie szanować, co czuje druga istota, nie rozumieć jej bólu, strachu i rozpaczy, a tym bardziej wykorzystywać ją do rozładowania własnych frustracji. Patrząc na moje koty, widzę, jakie to mądre i uczuciowe stworzonka, w dodatku bezbronne wobec silniejszej istoty, jaką jest człowiek. Człowiek, dla którego powinno być oczywiste, że nie można ranić tego, co oswoimy.

Hanna Girdwoyń

Szkoła Podstawowa nr 203 im. Antoniny i Jana Żabińskich w Warszawie Zdejmij opaskę z moich oczu

Pewnego słonecznego popołudnia w parku pojawiła się Dziewczynka. Spacerowała zwirową dróżką, aż ujrzała kruka, siedzącego na złotolistnej brzozie. Nie był to jednak zwykły ptak, bo w srebrzystym dziobie trzymał fajkę, którą palił.

- Czekałem na ciebie – powiedział, lustrując swoją rozmówczynię oczkami podobnymi do koralików.

Miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt i była raczej szczupła. Jej włosy przybrały barwę złotoruda, ponieważ przebijało przez nie zachodzące słońce. Błękitny sweter z psem Pluto wpasował się w kolor oczu panienki, a całości dopełniała czerwona spódniczka w szkocką kratę.

Na rumianej buzi dziecka malowała się zaduma godna wielkiego naukowca, a nie niespełna ośmioletniej, niezbyt grzecznej uczennicy.

- Czekałeś na mnie? – powtórzyła z dziwną mieszanką butnej pogardy i niepewności.

- Tak, zesłały mnie tu Niebiosa – odparł z szacunkiem. – To znaczy, Zwierzęce Niebiosa. Twoje czyny równoważą się, ale jako twój Ptak Stróż mam obowiązek ukazać twe postępowanie.

- Ptak Stróż? – zachichotała jego podopieczna. – A nie anioł?

- Powiedzmy, że aniołowie mają ręce pełne roboty i przed Komunią to ptaki się wami zajmują. W końcu obydwie te gatunki mają skrzydła – wyjaśnił obcy. – Czy jesteś gotowa zobaczyć, co zrobiłaś?

Nie czekał na odpowiedź, tylko nadął się niczym Piaskoludek, gdy spełniał życzenia. Po chwili jęł cofać się w czasie. Ta nad wyraz osobliwa podróż wywołała u młodej damy zawroty głowy.

Nagle zostali rzućeni do nieco szarego świata, podobnego do tego, jaki osoby noszące okulary mogą zaobserwować po wejściu do domu w mroźny dzień. Znajdowali się na prawie całkiem zabrukowanym skwerku, na którym jedyną barwną plamą był szmaragdowy płaszczyk około pięcioletniego dziewczątka, stojącego tam samotnie.

Wspomnienie obecnej dziewczeczki podbiegło do grupy wron, które otaczały coś niczym gapie, tłoczący się wokół palącego się budynku. Odpędziła

je, machając wszystkimi kończynami, które mogła oderwać od ziemi, nie zdzierając sobie kolan na ostrej kostce brukowej.

Gdy ptaki o dosyć podłym charakterze, zresztą dodanym przez ludzi, rozleciały się w swoje strony i zajęły się swoimi wronimi sprawami, ukazało się delikatnie nadjedzone ciało zmarłego gołębia.

Młoda dama zrobiła minę, która mogłaby zwiastować rychły szloch, i z trawnika wyrwała żółty kwiatek, który pani w przedszkolu przedstawiła im jako mlecz. Obok truchła biednego stworzenia upuściła jedną roślinkę, oddając tym prostym gestem cześć nieznanemu stworzeniu niczym bohaterowi narodu.

Kruk przerwał uroczystą ciszę, kracząc cicho, co mogło również być kaszlem, bo to, że palenie fajki nie jest dobre na płuca, należy do wiedzy powszechnej.

- To twój dobry uczynek – powiedział. – Pokazałaś, że jesteś wrażliwa, że stawiasz zwierzęta na równi z ludźmi.

Następnie powiększył się ponownie, napuszył i po chwili znów przeniósł siebie i panienkę do innego miejsca, jednak tym razem było to dużo łatwiejsze i mniej szokujące.

Pojawili się na zimowej ulicy. Był wieczór, z okien kamienic sączyły się światła, ale nie sięgały one do zaułka, w którym się zmaterializowali. To właśnie tam szła siedmiolatka w grubym, szarym płaszczu. Ponownie była sama.

Nagle zauważyła szczeniaka, skamłającego z zimna. W jego małych, czarnych oczach widać było lęk. Szczekał tak głośno, że nie było sposobu, by go zignorować. Ludzie spoglądali nań ze smutkiem i żalem, ale dziewczoja przeszła obojętnie.

Ot co, zwykły piesek, mam coś lepszego do roboty – mogła pomyśleć.

Chwilę później, która zdawała się mrugnięciem, ale mogła być też całymi godzinami, szczeniaczek zamilkł. Hipotermia gonila go godzinami, aż w końcu udało jej się złapać psa. Dzieweczka w jej współczesnej formie otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Po chwili opadła na kolana, a po jej twarzy popłynęły łzy.

- Nie wiedziałam – wyjąkała – Nie wiedziałam, że on umarł. Nie chciałam, żeby ktokolwiek bądź cokolwiek zginęło z mojej winy. Byłam tak samolubna, tak zapatrzona w siebie. Nie zwróciłam na niego uwagi, bo spieszyłam się do domu z powodu zimna.

Kruk spojrział na nią z mieszanką politowania i współczucia, a następnie zatrzepotał skrzydłami. Powrócili w pierwsze miejsce ich spotkania. Złociste słońce ogrzewało i rozświetlało sztucznie wykonany las, a także koilo dziewczynkę.

- Czy rozumiałaś swe błędy? – spytał stróż, używając do tego tonu filozofa czy wyrocznię, który jest nieomylny.

- Tak – wychlipała, ocierając oczy chusteczką.

I rozumiała, już nigdy nie przeszła obok krzywdy zwierzęcia ani człowieka. Stała się wrażliwsza, myślała więcej, widziała więcej i potrafiła zauważać i rozważać los innych istot.

Ta sytuacja rozpoczęła przyjaźń pomiędzy krukiem – palaczem o imieniu Kolkrabe oraz bezimienną Dziewczynką. Czy istnieli? Niestety, tego nie wiem.

Julia Orzyńska

Szkoła Podstawowa nr 169 im. Orła Białego w Warszawie

Odkąd pamiętam, marzył mi się wąż. Już jako dziecko czułam wielką więź z tymi zwierzętami. Były one dla mnie magiczne. Niejednokrotnie czytałam książki przyrodnicze lub oglądałam programy w telewizji o tych gadach. Często chodziłam również do parków edukacyjnych, aby móc je pogłaskać i być blisko nich. Nabyłam o nich dużą wiedzę. Robiłam to po co, aby w niedalekiej przyszłości posiadać wymarzone zwierzę. Pod tym względem różniłam się od rówieśników, którzy woleli psy czy koty, a one i tak szybko im się nudziły. Śmiali się z tego, że lubię takie gady, bo przecież każdy uważa, że wąż to jadowite i niebezpieczne zwierzę. W końcu po długich prośbach i namowach rodziców dostałam go! Nazwałam go Winner.

Jego imię symbolizuje zwycięskie próby dostania go. Byłam bardzo podekscytowana tym, że mam własnego węża, mogę go pielęgnować i uczestniczyć w jego życiu.

Niestety moja radość nie trwała długo.

Zaczął się od chorób skórnych, potem doszły pasożyty. Winner bardzo się męczył, ciągle musiałam podawać mu leki. Przestał mi ufać i zaczął się mnie bać, a ja zaczęłam się bać jego. Nikt go nie rozumiał bólu, jaki musiał przechodzić, dlatego chciałam dać mu duże wsparcie. Podawałam mu leki i jeździłam do weterynarza. Któregoś dnia, wracając z nim z kolejnej wizyty w lecznicy, spotkałam kolegę, z którym często rozmawiałam o moim pupilu. On też bardzo kocha węże.

– Hej – powiedziałam – co robisz tu o tej porze? Jest już ciemno.

– Właśnie wracam ze spaceru – odpowiedział, uśmiechając się. – Czy to jest Winner?

Spojrzałam na transporter, w którym siedział mój wąż, a potem znowu na kolegę.

– Tak, to jest Winner – odpowiedziałam. – Właśnie wracam z nim od weterynarza.

– Coś się stało? – zapytał zdziwiony.

– Niestety tak – popatrzyłam ze smutkiem na mojego węża. – Ostatnio bardzo choruje. Musieliśmy jechać na wizytę kontrolną, abyśmy mogli dostać nowe leki.

– Pasożyty? – zapytał kolega.

– Tak – odpowiedziałam, wzdychając, i ponownie zajrzałam do Winnera leżącego w transporterze.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, ale musiałam wracać, aby podać leki mojemu przyjacielowi.

Wiele dni spędziłam, próbując mu pomoc. Na początku było bardzo ciężko i nie było widać efektów, ale po pewnym czasie Winner zaczął wracać do formy i na nowo mi zaufał.

Stał się znowu zwycięzcą!

Jestem z Ciebie dumna – powiedziałam patrząc na Winnera, mojego przyjaciela. To bardzo ważne, aby zrozumieć drugą istotę. Dobre nastawienie w trudnych chwilach to połowa sukcesu. Mój pupil czuje się już dobrze. Jest zdrowy, a ja szczęśliwa, że w tych ciężkich chwilach walczyliśmy razem. Udało się!

Karolina Ostoja-Ostaszewska

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Labirynt myśli

Wstaję rano, właściwie to „rano” może być każdą porą, nawet środkiem nocy. Przeważnie wstaję, gdy słyszę, że ktoś zbliża się do kuchni, w której jest mój dom. Wtedy od razu zaczynam piszczeć, prosząc, aby ktoś dał mi jeść. Ciekawe jest to, że mogę jeść o każdej porze, ponieważ pomimo drobnej budowy potrzebuję jeść cały czas, aby być zdrowa. Mówią, że to przez wyjątkowo krótki układ pokarmowy. Jednak nie zawsze dostaję to, o co proszę. Trudno się dziwić, gdy żebrzę o jedzenie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Każdy by w pewnym momencie zaczął mnie ignorować. Gdy jednak uda mi się ubłagać jakiegoś członka rodziny, aby dał mi jakąś przekąskę, wydaje się ona najsmaczniejsza na świecie, ponieważ jest to przeważnie plaster świeżego owocu lub liść sałaty. Znam wszystkie rodzaje odgłosów szeleszczenia toreb i dźwięk otwierania lodówki oraz doskonale wiem, jak zapiszczeć, aby niektórym serce nakazało otworzyć lodówkę i sprawić mi radość.

Jedzenie jest dla mnie wszystkim. Jest źródłem mojego szczęścia i energii życiowej, rozrywki i sposobem na smutek, z którym, czasem, borykam się w moim domu, mojej ojczyźnie – kuchni. Nigdy się stąd nie ruszam. Może się wydawać, że to lubię, ponieważ za każdym razem, gdy wychodzę z kuchni, uciekam w stronę klatki, ale to dlatego, że jestem tak do niej przyzwyczajona, że pomimo nudów jest to jedyne miejsce, w którym czuję się bezpiecznie.

W rzeczywistości życie tu jest bardzo monotonne. Jedyne, co mogę tu robić, to pić, jeść, chodzić w kółko i spać. Mimo bycia „u siebie” często tracę poczucie bezpieczeństwa, ponieważ często wyjmują mnie z klatki wbrew mojej woli, aby po prostu sprawić sobie radość. Odgrywam rolę maskotki, kochanej, ale nadal maskotki. W takich sytuacjach czuję strach. Dlatego jestem dość płochliwa i wrażliwa na jakikolwiek rodzaj ruchu w pobliżu mojego domu, ponieważ nigdy nie wiem, czego się spodziewać. Nie potrafię rozróżnić, czy ktoś się zbliża z dobrymi czy złymi intencjami. Tak mniej więcej wygląda każdy dzień mojego życia.

Mam specyficzny tok myślenia, podobno zbliżony do każdego innego zwierzęcia, a mianowicie uznaję, że ten, kto mnie nakarmi, będzie moim przyjacielem. Oczywiście musi powtórzyć to wiele razy i nie robić niczego, co mi się nie spodoba. My, zwierzęta, znane jesteśmy z tego, że,

w przeciwieństwie do ludzi, nigdy nie popełniamy tego samego błędu dwa razy. Tak właśnie jest, gdy ktoś chce zasłużyć na moje zaufanie. Gdy tylko zrobi coś, co mi się nie spodoba, musi zacząć cały proces przypodobania się mi od początku, i to bez gwarancji, że mu się uda...

Dopiero niedawno, na spacerze po parku, zauważyłam, że jakość mojego życia może być zupełnie inna. Przecież nie należę do tej klatki w kuchni! Mam prawo widzieć słońce, jak wschodzi i zachodzi! Miejscem, do którego należę, jest prawdziwa zielona łąka, trawa przeplatana dzikimi kwiatami, na których jest pełna, onieśmielająca mnie jeszcze, swoboda. Nawet teraz, jak myślę o tym, dreszcze szczęścia przechodzą mi po sierści.

Zastanawiam się, czy jakość mojego życia mogłaby być lepsza. Nie jest łatwo porównać prawdziwą wolność, której nigdy tak naprawdę nie zaznałam, bo urodziłam się w sklepie zoologicznym, do rodziny, która mnie kocha i dba o mnie. *Ja*, mała świnka morska, *zwierzę* się wam, że już się przyzwyczaiłam do takiego życia, i myślę, że nie byłabym do końca szczęśliwa sama, na łące, walcząca o byt każdego dnia, bo w pewien sposób przywiązałam się do tej ludzkiej rodziny i jestem jej częścią. Przynajmniej ona cały czas tak mówi... A zielone, pachnące łąki zostawię sobie jako wspomnienie chętnie przywoływane przed snem.

Lilianna Sitko

Spółeczna Szkoła Podstawowa STO nr 10 im. kard. Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Warto czekać

Jest noc. Na zegarku dopiero 3.00. Przez okno wpada strumień światła z ulicy na szafę. Przez chwilę myślę, że to nie szafa. Trochę tu mrocznie, jak w starej piwnicy, a jasność razi mnie w oczy. Chyba jednak wstanę i sprawdzę, co się dzieje. Okazuje się, że wszyscy śpią jak zabici. Ciekawe, gdzie schowali moje prezenty. Po cichu na palcach wychodzę z pokoju i zaglądam w różne miejsca. W końcu za kilka godzin skończę 12 lat. Naprawdę mógłby już przyjść ranek.

Kiedy wydają odgłosy, to dudni w całym domu, jak w studni. Do tego trzeba postukać pazurami o posadzkę, głośno posapać i od razu jest weselej. Najpierw budzą się maluchy. Wyłazą spod kolderek i idą w moją stronę. Mają małe stóпки, prawie tak małe jak moje. Tomek bierze mnie pod pachy i ciągnie, ciągnie bez litości. Następnie Kasia zakłada mi czapkę, bo myśli, że jestem lalką. Na wszelki wypadek się nie ruszam, bo aż boję się pomyśleć, na jaki pomysł jeszcze wpadną. Dużo przy tym hałasu. Dlatego, kiedy zapala się światło, dzieci nieruchomieją. Pani w czerwonym szlafroku marszczy brwi:

- *Co tu się dzieje?* – pyta stanowczo. - *Przecież mówiłam, że pies ma zostać w korytarzu. Jutro wyjeżdża. Było już pożegnanie...*

- *Ale mamo, my nie chcemy go oddawać. On jest naszym przyjacielem*
- odpowiadają ze smutkiem dzieci.

- *No dobrze, ostatni raz możecie go chwilę tu potrzymać, ale rano pan Zbyszek zabierze go do domu wujka. Przecież wiecie, że wyjeżdżamy bardzo daleko, aż do Australii* - patrzy na pociechy z czułością i jakby smutkiem. Po czym wychodzi z pokoju.

Otwieram jedno oko i widzę cztery głowy pochylone w moją stronę. Pierwsza brodata w okularach, druga z grzywką na opak, trzecia mała łepetyna z kucykiem ze szczerbatym uśmiechem, a pośrodku bardzo piękna blond mama z uśmiechem od ucha do ucha. A zaraz potem wszyscy wybuchają głośnym *Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam.... A kto Filip!!!!*

Nagle czuję mały ciężar na kołdrze. No tak, Julia skacze jak żaba i nie może się powstrzymać, a tata wyciąga mnie z łóżka, mamrocząc:

- *Co to za stary facet tu leży, zobaczymy...*

Lila mu pomaga i śmieje się głośno, a mama chroni tort przed ostatecznym upadkiem.

No i wsadzili mnie do klatki. To było nieuniknione. Nie rozumiem po co. Może tym razem to nie będzie ten stary weterynarz, przed którym zawsze muszę uciekać. Za to mam nadzieję, że to wyprawa do babci na obiad. Dawno już nie jadłem porządnej, grillowanej ryby. Hmmm, i zawsze dostają dokładkę. Nie mogę powstrzymać ogona i macham nim bardzo mocno. A jednak zamykają się drzwi samochodu i przez okna widzę całą rodzinę z dziwnie smutnymi twarzami. Kasia i Tomek biegną za autem i coś do mnie krzyczą. Nie wiem co. Trochę mi dziwnie. Mam nadzieję, że wkrótce wrócimy i ich uspokoje. Na razie niepokoi mnie ta cisza. I zapach inny. Silnik warczy bardzo głośno. Odruchowo też warczę.

W salonie aż mieni się od balonów. Jestem już tak wysoki, że serpentyny zaplątują mi się we włosach. Nad oknem siostry powiesiły napis: *Happy Birthday*, a obok lampy błyszczy nadmuchana liczba 12. Czuć zapach ciastek i świeżej pizzy. Jestem całkiem gotowy na przybycie gości. Nie mogę się doczekać głównego prezentu od całej rodziny. To na pewno będzie coś wyjątkowego, bo wszyscy ukrywają to przede mną od rana i uśmiechają się do siebie tajemniczo. Julka to chciała coś wygadać, ale Lila od razu ją powstrzymała. A niech to! Cały dzień czekam na tą chwilę. I wreszcie słyszę dzwonek domofonu. To dziadkowie. Mama poprawia mi kołnierzyk i od razu wiem, że też na to czeka. Wstrzymuję oddech. Słysząc zamykające się drzwi windy i kroki w korytarzu. Do przedpokoju wchodzi uśmiechnięta babcia, a za nią dziadek z wielkim pudłem na rękach. Oboje są dumni z siebie, jakby co najmniej wylądowali na księżycu. Nie wytrzymuję i podbiegam do nich.

Samochód hamuje, Zbyszek bierze coś z bagażnika i otwiera drzwi. Spogląda na mnie z uwagą, po czym, nie wiedząc czemu, przykrywa klatkę kocem. Co za głupota. Czuję, jak nie umiem utrzymać się na łapach. Trzęsie się cała podłoga, a ja razem z nią. Słyszę rozmowę innych ludzi:

- Dobrze, że jest pan na czas. Bo wszystko już przygotowane.

-Najważniejsze, żeby było mu tam dobrze - dodaje mój szofer, zaglądając pod koc i cmokając w moją stronę.

I zrozumiałem, że to nie będzie obiad u babci, tylko coś zupełnie nowego. Kątem oka widziałem, że nie rosną tu brzozy i nie stoi mój ulubiony śmietnik osiedlowy. Zacząłem nasłuchiwać. Mniej samochodów i ulicznego hałasu. Trzasnęły drzwi, głuche kroki, kolejne drzwi i dźwięk jadącej windy. Ojej. Pachnie tu jedzeniem. Może to mięso. Może to dla mnie. I znów dzwonek. I znów drzwi. Cisza. Co jest? Czemu nikt nie zdejmuje koca? Hej? Jest tu ktoś? Czy ktoś na mnie czeka? Zaczynam drapać pazurkami o ścianę pudełka. I wtedy widzę jego twarz. Stoi nade mną chłopiec i wpatruje się tak zdziwiony, jakby znalazł co najmniej kość.

Wpatruję się w swój prezent. O rety!!! Nie spodziewałem się. To przecież było moje marzenie. A teraz mam je przed sobą. Mała kudłata główka, brązowo- czarna, a dalej biały tułów i niesforny ogonek. Zaczął od razu merdać na przywitanie. Wyciągnąłem go ze środka, a cała rodzina zaczęła zachwycać się i gadać bez przerwy. Wszyscy się przekrzykiwali i chcieli się z nim przywitać. Każdy chciał dotknąć albo pogłaskać nowego przyjaciela. I poczułem, że on tego nie lubi, dlatego przytuliłem go i wymknęliśmy się do mojego pokoju. Postawiłem go na dywanie i usiadłem obok. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Ciągle merdał ogonem i przekręcał głowę tak, jakby pytał: „I co teraz?” A ja na to: „Teraz jesteście razem, Sonik...”, bo to imię dostrzegłem na skórzanej obroży.

Posadził mnie na dywanie i powiedział miłym głosem imię – *Sonik*. Czyli nadal będę Sonikiem, a ktoś nadal będzie mnie kochał....

Mateusz Makowski

Społeczna Szkoła Podstawowa nr 10 STO im. kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Pies jest najlepszym przyjacielem człowieka, ale czy człowiek jest najlepszym przyjacielem psa? Zwierzęta zawsze są szczęśliwe na widok swoich opiekunów, bez względu na to, czy obdarzamy je takim samym uczuciem. Człowiek powinien wspierać swojego towarzysza w trudnych chwilach i dbać o niego.

Mój pies Bibi jest pełną energii, wesołą przedstawicielką rasy golden retriever. Zawsze z radością coś zje, a właściwie to rozkosz z jedzenia towarzyszy jej nieustannie. Kiedy jesteśmy na spacerze, jedną z jej ulubionych zabaw jest szukanie patyków. Ale nie po to, aby je aportować. Bibi uwielbia je zjadać. Zachowuje się jak mały tartak. Dokoła niej zawsze jest pełno resztek po kijkach. Nie wiem, dlaczego tak robi, ale sprawia jej to ogromną przyjemność. Wie, że może na nas polegać, i kiedy źle się poczuje po zjedzeniu zbyt dużej ilości gałązek lub innych podwórkowych przysmaków, to przyjdzie do nas, nawet w środku nocy, i zawsze jej pomożemy. Chętnie wita każdego, kto wraca

do domu, i będzie chciała się bawić nawet wtedy, kiedy nie mamy na to czasu albo ochoty. Bywa też inaczej. To my chcemy się z nią potarmosić, ale ona nie ma zamiaru się ruszyć. Trzeba pamiętać, że to wszystko zależy od niej. Też może być zmęczona lub smutna. Zabawa jest czasem tylko dla niej, nie dla mnie, tak jak i spacer, który jest niezbędnym, aby dobrze się rozwijała. Poznaje wtedy nowych psich znajomych i uczy się zachowania w grupie. Jednak nie oznacza to, że nie mogą się z nią dobrze bawić. Pies jest żywą istotą i zasługuje na zrozumienie i przywileje, takie jak spokój, bezpieczeństwo czy te momenty, kiedy poświęcamy mu całą naszą uwagę.

Nasi pupile są nam bardzo bliscy. Dlatego powinno się ich traktować tak jak innych ludzi, z szacunkiem, zrozumieniem i godnością. Trzeba się nimi opiekować, dbać o ich zdrowie i bezpieczeństwo. Zwierzęta żyjące z nami pod jednym dachem powinny czuć, że mogą nam zaufać. Zrobimy wszystko, by im pomóc. One też zrobiłyby dla nas wiele, by nas pocieszyć albo wesprzeć w trudnej sytuacji. Moja Bibi ma wiele sposobów, by zwrócić na siebie uwagę. Czasami bywa natrętna, przynosząc nam a to ręcznik kuchenny, a to zagubioną skarpetkę, oczekując, że coś dostanie w zamian. Innym razem kładzie się na plecy i wije jak wąż, mrużąc głośno i lypiąc okiem, czy widzimy jej starania. Musimy wtedy do niej podejść, poczochrąć po brzuchu, złapać za łapy i pomruczeć w psim języku.

Jak już pisałem, mój pies wie, że może na nas polegać w każdej sytuacji. Nauczyła się tego, obserwując nasze zachowanie w stosunku do niej i dbałość, z jaką się nią opiekujemy. Jest to bezcenna relacja, której nic nie mogłoby zastąpić. Bibi stała się członkiem naszej rodziny. Gdy jest nam smutno lub jesteśmy przygnębieni, zawsze przyjdzie i spróbuje nas rozweselić, chcąc się pobawić czy po prostu dając się pogłaskać.

Bardzo często słyszymy o przypadkach przemocy i okrucieństwa wobec zwierząt. Najczęściej dotyczą one psów. Nie wyobrażam sobie, patrząc na Bibi, że mógłbym, nawet w chwili złości, skrzywdzić ją. Zawsze powinniśmy odwdzięczać się naszym ulubieńcom tym co nam ofiarują: wiernością, przyjaźnią i miłością.

Nieustannie powinniśmy próbować zrozumieć drugą istotę, pomyśleć, co może czuć, i spojrzeć na świat jej oczyma. Współodczuwanie jest kluczem do zawarcia silnej więzi ze zwierzęciem. A przecież o to chodzi. Od tego jest rodzina, by móc sobie pomóc w trudnych sytuacjach i mieć na kogo liczyć. Stworzenia też mogą być jej częścią. To, że są inne, nie znaczy, że powinniśmy je traktować inaczej. Św. Franciszek z Asyżu nazywał zwierzęta naszymi mniejszymi braćmi. Ale czy przez to mniej ważnymi? Bracia więksi, mniejsi, a może po prostu równi. Nikt nie powinien być niczym panem, a nasi pupile nie powinni być naszą własnością, bo nie są rzeczami. Są istotami żyjącymi i czującymi jak my. Przyjmując je pod swój dach, pamiętajmy, że jesteśmy za nie odpowiedzialni, a one stają się od nas zależne. Nie wykorzystujemy tej relacji po to, by być ich panem, ale bądźmy dla nich przyjacielem.

Mikołaj Ciecwierz

Szkoła Podstawowa nr 300 im. Wandy Rutkiewicz w Warszawie Czarny kot

Dwa lata temu byłem na wakacyjnym wypoczynku w Lisinach. Jest tam działka z widokiem na jezioro, a na niej dom, który należy do moich dziadków. Ma dwa piętra i cztery pokoje. Jest koloru żółtego. Ma skośny dach i ogromny teren do zabawy w chowanego albo berka. Przed domem znajduje się drewniany, zadaszony taras zrobiony przez tatę i dziadka.

Pewnego dnia rano usłyszałem, jak głośno szczekają psy u sąsiadów. Ubrałem się i wyszedłem sprawdzić, co się stało. Zobaczyłem na sosnowej gałęzi czarno-rudego, małego kota, a pod drzewem trzy psy, które na niego szczekały. Odgoniłem je i zawołałem mamę. Przyniosła drabinę i zdjęła kota z drzewa. Kotek wyglądał pięknie. Miał małe uszy, różowy nosek, czarną główkę i rudy tułów. Nie znałem się na rozpoznawaniu wieku u zwierząt, ale wydawało mi się, że jest bardzo młodziutki.

Wziąłem go na ręce i zaniósłem do domu. Popatrzył się chwilę na mnie, mamę, tatę i moją siostrę - Emmę. Potem prędko uciekł na górne piętro wprost do drugiego kota - Findusa. Kotek mały został zaatakowany przez dużego. Nie wyglądało to dobrze. Myślałem, że Findus zgryzie maluszka. Na szczęście moja siostra zareagowała, najszybciej jak mogła. Złapała Findusa i zamknęła w innym pokoju. Małego obejrzeliśmy najdokładniej jak się dało, ale nie było to łatwe, bo bardzo się wrywał. Mama zdecydowała, że pojedziemy z nim do weterynarza. Kiedy wzięliśmy go do lekarza, wcale nie zachowywał się dobrze. Zaczął wariować, gryzł weterynarza po rękach i nogach. Było mi za niego trochę wstyd. Wtedy lekarz wyjaśnił mi, że po bójkę jest na pewno przestraszony i nie wie, co się dzieje. Dał mu zastrzyk uspokajający, zbadał rany i puścił nas do domu. Zrozumiałem, że trzeba mu dać dużo miłości i wyrozumiałości. Dlatego od teraz uspokajamy go, kiedy jest zdenerwowany, czyli dużo go przytulamy i głaszczemy. On nam się odwzajemnia. Jego mruczenie uspokaja nas, kiedy jesteśmy zdenerwowani. Śpi ze mną w łóżku i grzeje swoim ciepłkiem. Dałem mu na imię Amadeusz, bo miauczy niczym prawdziwy artysta - muzyk, więc skojarzył mi się z Mozartem.

Nawet zaprzyjaźnił się z naszym pierwszym kotem, który nie był zbyt przyjacielski, ale od kiedy ma nowego kolegę, jest szczęśliwy i bardziej spokojny. Nasi goście nie muszą bać się o swoje życie, bo teraz Findus już na nich nie prycha i ich nie atakuje.

Bardzo się cieszę, że go przygarnęliśmy. Dzięki nam dostał nowy dom, którego pragnął, i nową rodzinę, która go kocha.

Mikołaj Wasilewski

Szkoła Podstawowa nr 350 im. Armii Krajowej w Warszawie

Był smutny, ponury, wtorkowy wieczór. Postanowiłem wyjść na spacer, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i rozprostować kości. Szedłem ulicą i rozmyślałem o życiu, podczas gdy woda kapiała mi na głowę. Miałem zły humor, ponieważ nie wyszedłem pojeździć na rowerze przez deszczową

pogodę. Dobijała mnie myśl, że padało już drugi tydzień i nie zanosilo się na poprawę pogody przez następne dni. Gdy wracałem, usłyszałem szelest w krzakach przy drodze koło mojego domu. Trochę się przestraszyłem, ale podszedłem bliżej; byłem niecały krok od krzaków, kiedy usłyszałem ciche szczenianie. Pochyliłem się nad rośliną i zauważyłem małego szczeniaczka. Wziąłem go na ręce, a on popatrzył mi prosto w oczy. Wtedy poczułem smutek i gorycz, bo było mi go żal. Gdy patrzyłem na niego, przypomniał mi się pies, którego miała moja babcia. Wszystkie wspomnienia z dzieciństwa nagle wróciły. Przypomniały mi się całodzienne zabawy i długie spacerunki z Kropkiem. Po dłuższej chwili namysłu postanowiłem wziąć małą zgubę ze sobą. Wracając do domu z moim nowym przyjacielem, myślałem, co powiedzieć rodzicom. We wcześniejszych rozmowach nigdy nie zgadzali się na posiadanie psa. Dochodząc do domu, bardzo się stresowałem, co powiedzą rodzice. Otworzywszy drzwi, wszedłem do domu, gdzie zastałem rodziców siedzących na kanapie wraz z moim młodszym bratem. Mateusz, jak tylko zauważył, że mam małego pieska ze sobą, wpadł w euforię i zaczął skakać ze szczęścia. Tata zapytał go, czemu tak skacze jak szalony, a wtedy on wskazał na białą kulkę w czarnej łacie w moich rękach. Mama była niezadowolona, widząc psa, tata również nie skakał z radości. Od razu zasypali mnie masą pytań, po co wzięłem psa i czemu zrobiłem to bez ich pozwolenia. Próbowałem im to wytłumaczyć, ale mój język odmawiał posłuszeństwa. Zacząłem się jąkać i nie mogłem wymówić ani jednego słowa na swoją obronę. Jedyne, co powiedziałem, to: „chodźcie na kanapę”. Po ochłonięciu zacząłem opowiadać o zaistniałej sytuacji. Opowiadałem o tym, jak go znalazłem, i o tym, co czułem, jak go zobaczyłem. Powiedziałem im, że gdy on na mnie spojrział, to tak, jakby patrzył mi w duszę, że gdy zobaczyłem go, to poczułem zrozumienie od drugiej istoty. Po długiej, bo prawie dwugodzinnej, rozmowie doszliśmy do wniosku, aby wywieźć ogłoszenia w okolicy i, jeśli nikt się nie zgłosi po pieska w ciągu tygodnia, to go przygarniemy. Tata wydrukował ogłoszenia, a moim zadaniem było je rozwieść w naszej okolicy. Zrobiłem, o co poprosili mnie rodzice. Porozwieszałem ogłoszenia w najbardziej widocznych miejscach i tych, w których chodzi najwięcej ludzi. Minął tydzień. Nikt się nie zgłosił, co oznaczało, że pies jest nasz i zostaje u nas. Był to bardzo szczęśliwy dzień, ale zarazem dzień, w którym było dużo do zrobienia. Rano miałem sprawdzian z matematyki oraz trzeba było kupić akcesoria, jedzenie i zabawki dla nowego członka naszej rodziny. Zaczęła się pierwsza lekcja, na której miał być sprawdzian, ale jakimś cudem pani od matematyki zapomniała zabrać materiałów z domu - miałem dużo szczęścia, bo nie uczyłem się do niego i prawdopodobnie dostałbym gorszą ocenę. Po zakończeniu ostatniej lekcji pojechałem do domu autobusem. Jedząc obiad, myślałem nad imieniem dla mojego pieska, myślałem długo i wymyśliłem. „Mój pies będzie się nazywał Jack!” - krzyknąłem z radością. Po wybraniu imienia i zjedzeniu obiadu pojechałem z tatą do sklepu zoologicznego po jedzenie, zabawki i akcesoria dla Jacka. Wchodząc tam, miałem świetny humor, który udało się trochę popsuć pani pracującej w sklepie, która uświadomiła nam, że jak chcemy kupić karmę

i smakołyki dla pupila, to musimy znać jego rasę. Wróciliśmy do domu i postanowiliśmy pojechać do weterynarza, by uzyskać tę informację. Weszliśmy do gabinetu i dowiedzieliśmy się, że Jack należy do rasy Jack Russell terrier, czyli do tej, którą zawsze chciałem mieć. Faktem było też to, że imię Jack pasowało do nazwy jego rasy. Mając już tę wiadomość, pojechaliśmy do sklepu zoologicznego, gdzie kupiliśmy masę zabawek, akcesoria i tonę psiej karmy oraz przeróżnych smakołyków. Już w domu nasypałem Jackowi karmę do miski, a on pochłoniął ją w mgnieniu oka. Zobaczywszy, to wszyscy zaczęli się śmiać.

Biegając z Jackiem po naszym ogródku, przypomina mi się ta piękna historia.

Aleksandra Biedrzycka

Szkoła Podstawowa nr 203 im. Antoniny i Jana Żabińskich w Warszawie
Królewskie życie

Kto powiedział, że kot czy pies ma słabe życie?

We współczesnym świecie te zwierzęta są traktowane należycie!

Karmione i zadbane,

Tulone i kochane,

Zażywają swobody i wolności

Tak, że każde dziecko w pandemii im zazdrości!

Chronione i wyhasane,

Wyspane i zrelaksowane,

Po prostu wiodą królewskie życie!

Czy nadal w to wątpicie?

Oliwia Sobótka

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Franek – mój przyjaciel z dzieciństwa

Będąc na rodzinnym spacerze w lesie, niedaleko domu zobaczyłam zagrodę. Z daleka zauważyłam, że w środku jest szopka ze zwierzątkami. Kilka metrów dalej, za kościołem była karuzela. Cały ten kompleks wybudował rzeźbiarz Józef Wilkoń. W planach rzeźbiarza karuzelę miał napędzać osiołek o imieniu Franek. Szybko jednak okazało się, że ten plan jest niemożliwy do zrealizowania. Osiołek był zbyt uparty i nie chciał ruszać karuzeli. Parafia nie miała planu na upartego Franka i chciała go sprzedać na allegro. Nie było jednak chętnych i osiołek pozostał w szopce przy kościele. Rzeźbiarz zbudował drugą zagrodę z szopką, bo się okazało, że w jednej zagrodzie nie ma miejsca dla krów, Franka, kur, owiec i świnek. Gdy skończył, mężczyzna przydzielił do zagrody

z szopką Franka i owce, a w zagrodzie koło karuzeli zamieszkała krowy, kury i świnki. Na płocie koło przydzielonego terenu dla Franka przyczepił tabliczkę z napisem „Franek”. Od tego czasu osiołek pozostał w tym miejscu na stałe, stając się pupilkim spacerujących ludzi. Wszyscy chcieli go karmić. Większość odwiedzających przynosiła zdrowe jedzenie, głównie jabłka i marchewki. Niestety niektórzy karmili go chlebem i słodyczami. Przez to Franek zaczął

chorować i koło tabliczki z imieniem osiołka pojawił się napis „Zakaz karmienia zwierząt”. Jednak niektórzy ludzie ciągle go karmili, przez co zwierzak coraz bardziej chorował. Kościół zbierał pieniądze na leki dla osiołka. Mimo to on czasami czuł się źle i wtedy nie wychodził z domku w zagrodzie. Spacerujący wolał Franka, czekali na niego, ale on pozostawał w domku. Wszyscy się martwili, czy z osiołkiem wszystko jest dobrze. Na szczęście taka sytuacja zdarzała się rzadko.

Franek miał bardzo ładne siwo-czarne futro i mądre, przyjazne, brązowe oczy. Osiołek mieszkał wcześniej u rolnika, który jednak po roku zmarł, a rodziny staruszka nie było stać na utrzymanie Franka, dlatego od tamtego czasu za utrzymanie osiołka płacił i odpowiadał kościół rzymskokatolicki bł. Edwarda Denkesa w Warszawie. Zwierzaki mieszkające w zagrodzie kościelnej często razem się bawiły. Gdy miały lepszy humor i dobrze się czuły, bawiły się zabawkami, które wrzucali im ludzie np. piłkami i częściowo zniszczonymi misiami.

Gdy przychodziły dzieci, Franek podchodził do płotu i bardzo śmiesznie chrumkał i przyjaźnie na nie patrzył. Mnie się nawet wydawało, że się pięknie uśmiecha. Bardzo lubiłam go odwiedzać, tak jak inne osoby. Kiedyś mi się nawet zdarzyło być kilka razy w tygodniu.

Niestety Franek w tamtym roku umarł jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy było najwięcej odwiedzających ze względu na szopkę wiążącą się z tymi świętami. Wszyscy się zastanawiali, co się z nim stało, aż w końcu kościół powiedział burmistrzowi dzielnicy, a burmistrz Bielan oficjalnie ogłosił miastu, że Franek umarł. W Internecie było o tym bardzo dużo materiału, nawet jeden z bardziej znanych programów telewizyjnych „TVN24” napisał o tym. Parafii i całej dzielnicy było bardzo smutno. Mnie i moim rodzicom również.

Prawdopodobnie Franek umarł podczas tej samej burzy, co się zniszczyła szopka po drugiej stronie zagrody. Strasznie się wtedy bał. Drugą przyczyną śmierci na pewno był jego wiek. Umarł w wieku 21 lat, a to jest już dużo jak na osiołka. Porównując do życia człowieka to około 50-60 lat.

Gdy umarł Franek w szopce pojawił się nowy mieszkaniec. Był nim muł. Miał na imię Franciszek II. Kiedyś mieszkał w warszawskim zoo, pewnie przypadkowo mają te same imiona.

Muł jest wielkości Franka, ma mądre, młode, brązowe oczy, błyszczące brązowe futro i wygląda na młodego zwierzaka.

Franek II jest podobny do starszego Franka. Tak samo przyjaźnie patrzy, śmiesznie chrumka i też mi się wydaje, że pięknie się uśmiecha. Mama żartuje, że starszy Franek jest wujkiem młodszego Franka.

Patrycja Strzelecka

Szkoła Podstawowa nr 340 im. prof. Bogusława Molskiego w Warszawie

Cześć, mam na imię Patrycja. Od zawsze chciałam mieć zwierzę, więc próbowałam namówić rodziców. W końcu się udało. Kupiliśmy suczkę rasy *Jack Russell* terrier z hodowli. Zaraz poznacie historię tego psiaka.

Wabi się Plamka. Jest bardzo inteligentna, niezwykle szalona,

energiczna, a przy tym ciekawska i dosyć uparta. Ma sierść barwy białej z czarnymi plamkami z domieszką karmelowego. O Jack Russell terrierach mówi się, że to wielkie psy w małych ciałach. I rzeczywiście tak jest! Obecność zwierzaka w naszej rodzinie zupełnie odmieniła dotychczasowe życie. Na początku musieliśmy się z nią zapoznać. Nowy członek rodziny z biegiem tygodni przyzwyczajał się do odmiennego otoczenia. Zwłaszcza, że szczeniaki przez pierwsze tygodnie nie mogą opuszczać domu, bo odbywają kwarantannę po szczepieniach, więc można było wychodzić z nią na dwór tylko na rękach. Pamiętam, że pierwszego dnia nie chciała wyjść z pokoju, ale już po trzech lub czterech dniach chodziła po całym domu. Przez dłuższy czas bała się jednak kuchni i wchodziła tylko za próg tam, gdzie stały jej miski. Gdy była młodsza, cechowała się ogromnym szaleństwem, umiała biegać z prędkością światła po pokojach przez dziesięć minut albo i dłużej. Nazwałam to biegiem wiewiórki, ponieważ te rude zwierzątka potrafią szybko znaleźć się na drzewie. Po odbyciu kwarantanny można było już ją normalnie wyprowadzać na smyczy, a Plamka chodziła wszędzie i wszystko obwąchiwała. Oczywiście trzeba było ją wielu rzeczy nauczyć. W późniejszym czasie zaczęliśmy stosować komendy, a jako że nasz pies jest mądry, to się szybko nauczył tych podstawowych. Gdy miała pięć miesięcy, razem z moją mamą uczęszczała na zajęcia do psiego przedszkola, które sobie upatrzyła. Na szczęście z każdym miesiącem robi się coraz spokojniejsza. Jako ciekawostkę powiem, że gdy Plamka się cieszy, to kładzie uszy do tyłu, przez co wygląda jak foczka i to mnie wprawia w dobry nastrój. Mała istota na pewno nas kocha, co wynika z jej zachowania – bardzo często macha ogonem, przytula się i liże nas, gdy tylko czyjaś twarz znajdzie się w jej zasięgu.

Pozwólcie, że opowiem Wam trochę historii związanych z naszym szaleńcem. Mama mi mówiła, że, jak była na spacerze, to nasza Plamka z zacięciem rozgrzebywała coś w ziemi. Akurat wtedy szedł mały chłopczyk z tatą i nagle wykrzyknął: *Patrz, tato! Jaka mała koza!* O mało nie pękliśmy wszyscy ze śmiechu, gdy usłyszeliśmy to porównanie. Innym razem, gdy wyszłam z siostrą wyprowadzić psa na długi godzinny spacer, tak je zmęczyłam, że obie po powrocie do domu natychmiast poszły spać. A pewnego razu podczas powrotu z przechadzki smycz Plamki zaplątała się o znak drogowy i suczka, zamiast zawrócić i pozwolić sobie na odplątanie, to znanym sobie sprytem zdjęła psie szelki. Nie mogłam jej złapać, bo szczęśliwa biegała w kółko, myśląc, że chce się z nią bawić. Ale w końcu się udało, wzięłam ją na ręce i wróciłam do domu.

Plamka uwielbia spać pod przykryciem. W nocy wskakuje do naszych łóżek i przytula się do brzucha osoby, przy której akurat śpi, bo tam jest jej najcieplej. W ogóle jest rozkosznym pieszczochem, nie pogardzi głaskaniem i drapaniem. Nawet gdy śpi w dzień, najczęściej układa się przy naszych nogach, a jak jej się udaje, to nawet na kolanach. Instynktownie chce być blisko i czuć naszą obecność.

Mój szceniak, który właśnie skończył siedem miesięcy, bardzo ochoczo odwiedza gabinet weterynarza. Gdy tylko przechodzimy obok kliniki

weterynaryjnej, od razu ciągnie do drzwi i piszczy z ekscytacji. Niestraszne jej żadne szczepienia ani przepisane tabletki. Zachowuje się, jakby to było jedno z jej ulubionych miejsc.

Podsumowując, zwierzęta przynoszą wiele radości człowiekowi. Nasza Plamka jest bardzo interesującą istotą, więc na nudę nie narzekamy. Jej obecność wniosła w nasze życie wiele radości. To niesamowite, jak wielką miłością może emanować taki mały psiak. Jeśli też pragniecie mieć czworonoga, czy jakiegokolwiek inne stworzenie, to proście dorosłych do skutku, a może w końcu się uda uzyskać zgodę, jak to miało miejsce w moim przypadku.

Szymon Wójcik

Szkoła Podstawowa nr 340 im. prof. Bogusława Molskiego w Warszawie Rudość, czyli radość

Rudy, Rudaś, Rudzielec, Brudaś - to tylko nieliczne z imion mojego czworonożnego przyjaciela. Najlepszego, jakiego można sobie wymarzyć.

Nigdy nie miałem żadnego zwierzaka. Aż do wakacji przed pierwszą klasą szkoły podstawowej. Wyjechaliśmy z rodzicami do urokliwego Torunia i wieczorem w hotelu zupełnie przypadkiem zobaczyliśmy ogłoszenie zachęcające do adopcji psów ze Schroniska na Paluchu. Od razu poczułem, że to może być jedyna szansa. Pod koniec dnia zaczęliśmy z rodzicami przeglądać zdjęcia Paluszków, na początku tak z czystej ciekawości. Ale im więcej o nich czytaliśmy, tym bardziej chcieliśmy jednemu z nich dać dom. Po setkach przejrzanych ofert naszą uwagę przykuła piękna podpalana mordka rudego psiaka o imieniu Żelek. Patrząc na niego wiedziałem, że będzie to mój pies.

Dwa dni później wróciliśmy do Warszawy i od razu ruszyliśmy do schroniska, żeby poznać Żelka. Na miejscu okazało się, że Żelek jest trochę większy niż się spodziewaliśmy. W zasadzie całkiem duży. I kompletnie szalony. Biegał po wybiegu, jakby był na wyścigach konnych na Służewcu, a gdy dostał od nas parę przysmaków, to nie chciał już wrócić do kojca. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak zabrać go ze sobą. Szybko załatwiliśmy formalności i już we czwórkę ruszyliśmy do auta.

I tu pojawił się pierwszy problem. Żelek zupełnie nie miał pojęcia, jak się zachować w samochodzie i do czego służy ta duża zabawka. Stał i patrzył na nas, jak próbujemy go przekonać, żeby wsiadł do środka. Namawianie go zajęło nam około 30 minut, aż w końcu postanowiliśmy odpocząć chwilę na fotelach, a on... po prostu za nami wskoczył.

Nie znaleźmy jego historii, więc nie do końca wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać po naszym nowym współlokatorze. A jak się okazało, czekała nas seria niespodzianek.

Przede wszystkim szybko stało się oczywistym, że Żelek wcale nie chce być Żelkiem i nie reaguje na swoje schroniskowe imię. Za to przypadło mu do gustu imię „Rudy” i od tego dnia został naszym Rudasiem. Trochę większy kłopot mieliśmy ze spacerami. Rudaś nie miał bladego pojęcia, jak się chodzi na smyczy i dlaczego nie wolno biegać po całej szerokości chodnika.

A najbardziej wytrącał go z równowagi fakt, że istnieją inne psy. Rzucał się z zębami na wszystkich psich kolegów, a czasami warczał też i na ludzi

Jeszcze ciekawiej się zrobiło, kiedy pierwszy raz został sam w domu. Okazało się, że akurat tego nie lubi najbardziej na świecie. Niemal zdemolował nam mieszkanie, kalecząc przy okazji pysk. Podrapał drzwi, zerwał rolety w oknach, porwał kurtkę mamy, ciągnąc za nią tak mocno, że wyrwał ze ściany wieszak. Efekty naszej dwugodzinnej nieobecności były wprost oplakane... Pojawiła się kolejna umiejętność, którą trzeba go było dopiero nauczyć. I to bardzo małymi kroczkami. Wychodziliśmy z domu na parę minut, żeby nasz pupil powolutku przyzwyczajał się do bycia samemu. Trochę to pomagało, ale jego pysk za każdym razem wyrażał tak wielki smutek, jak wychodziliśmy, że przeważnie maszerował z nami. I szczęśliwie merdał ogonkiem z tego powodu.

Jego kolejna fobia to kąpiel. Rudy nienawidzi wody. Oczywiście, poza tą do picia. Nad morzem nawet nie podszedł do brzegu, wołał leżeć na plaży. W sumie nawet go rozumiałem, bo pierwszy raz też bałem się morza. No ale kąpiel jednak to co innego. Ja lubię się kąpać. Rudy wprost przeciwnie. Trzęsie się zawsze jak szalony. Nie pomagają nawet najlepsze przekąski i delikatne głaskanie ręką mamy. Za to po kąpielu odzyskuje energię i biega po całym domu, jakby chciał się wysuszyć w locie.

Po siedmiu wspólnie spędzonych latach uśmiechamy się z rozbawieniem, przypominając sobie opis z ogłoszenia, w którym Rudy był przedstawiony jako „pies o łagodnym usposobieniu, idealny do domu z dziećmi”. Może to było lekkie kłamstewko, ale szybko się do naszego czworonoga przyzwyczailiśmy i tak z nami został do dziś. Teraz to już starszy piesek, który potrzebuje dużo czułości i opieki. Jego dawna agresja oraz lęki znacznie się zmniejszyły. Rudaś uwielbia być głaskany, nie odmówi też zabaw z innymi psami, choć nadal nie wszystkie mu pasują. Wie też, że go nie zostawimy, nawet jeśli przez chwilę jest sam w domu. Jedno się tylko zmieniło – Rudy wciąż nie znosi kąpeli. I jakimś szóstym myśłem wyczuwa, kiedy przychodzi na nią pora. Wtedy za żadne skarby nie chce wejść do łazienki.

Rudaś to nie jest pies rasowy. Nie umie niewiarygodnych sztuczek, nie wygrywa konkursów. Jest kundelkiem, średnio grzecznym i trochę upartym. Ale jest mój i jest najlepszym przyjacielem, jakiego mogłem sobie wymarzyć.

Wiktorja Foryś

Katolicka Szkoła Podstawowa nr 7 im. kard. Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Koci czas

Nigdy wcześniej nie miałam zwierzaka. Mimo tego, że zarówno ja, jak i moje rodzeństwo bardzo prosiliśmy o nie, nie było zbyt dużej nadziei, głównie przez alergię, którą wszyscy mieliśmy. Jednak w trakcie pandemii wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego.

Z uwagi na to, że ryzyko zarażenia się i zachorowania było w Warszawie dość duże, moi rodzice postanowili wyjechać na działkę na skraj puszczy. Jak

się później okazało, była to bardzo dobra decyzja. Na początku naszego pobytu na Mazurach, gdy wychodziliśmy na dwór, nie było żywej duszy ani żadnych małych zwierzątek, oprócz ptaków. Jednak po około dwóch tygodniach zaczął do nas przychodzić śliczny, czarny kotek z białym krawacikiem. Postanowiliśmy nadać mu jakieś imię. Oficjalnie został nazwany Rockefeller, ale w niektórych kręgach, a dokładniej głównie w siostrzanych, figurował jako Zdzisł.

Na początku byłam do niego troszkę uprzedzona. Obawiałam się trochę zbliżania do niego, ponieważ był to duży kot, który nie wiadomo skąd pochodził. Nie wiadomo było, czy np. nie ma jakichś pasożytów czy innych zarazków. Mimo mojej początkowej niechęci, dorośli postanowili go dokarmić. Ponadto, kiedy zostały zauważone jakieś pasożyty, natychmiast zadziałaliśmy i zadzwoniliśmy do weterynarza. Następnie kupiliśmy lekarstwo i wkrótce potem Rockefeller był już całkowicie zdrowy. Zyskiwał on także moją sympatię. Mam tu na myśli zaprzyjaźnienie się z nim, podpatrywanie jego nawyków, trybu życia. Czasem wydawało mi się, że idealnie odnalazłby się w ciele psa, bo zawsze za nami chodził jak ochroniarz. Lubił się także z nami bawić. Jednak najśłodszy był wtedy, kiedy obcierał się o kolana. Było to naprawdę odstressujące i relaksujące. Prawdziwym okazało się twierdzenie, że koty uwalniają z nas stres, bo rzeczywiście czułam się dużo spokojniejsza. A pomimo tego wszystkiego był znakomitym łowcą. Niejednokrotnie przyniósł nam myszkę jako trofeum, a zdarzyło się nawet, że pokazywał nam żywą, z którą bawił się naprawdę w kotka i myszkę. Był to niezwykły kot, bo nawet udało mu się złapać kreta, który niszczył nam całą działkę. Rodzice w warzywniaku nie mogli sobie poradzić z krecimi kopcami, a pewnego poranka przed drzwiami siedział Rockefeller z niespodzianką. Oczywiście otrzymał od nas pyszną nagrodę oraz mnóstwo pochwał, bo moja mama była przesyłśliwa. Uwieczniła ten moment nawet na zdjęciu.

- Jestem waszym osobistym myśliwym, to moja praca. Czy jesteście ze mnie dumni? Jednak teraz oczekuję nagrody – gdybym rozumiała mowę zwierząt, to prawdopodobnie to by właśnie powiedział.

Wkrótce potem przyszła do nas pewna kotka, nazwaliśmy ją Lilia. Była dużo spokojniejsza niż Zdzisiu, często leżała pod tarasem i pozwalała się głaskać do woli. Niedługo później zauważyliśmy, że coś jest nie tak z jej brzuchem. Był twardszy. Moja babcia wpadła na pomysł, że może ona ma dziecko. Dlatego dostawała najlepsze kawałki mięsa (z tych przeznaczonych dla kotów oczywiście). Kilka tygodni później urodził się malutki kociak. Lilia nie chciała nam pokazać swojego dziecka od razu, jednak czasem, kiedy było naprawdę cicho, można było usłyszeć cichutki głosik gdzieś w trawie.

-Miauu, miauu, miauu – tylko tyle było słychać.

Ale mimo wielokrotnych poszukiwań, nie udało nam się go znaleźć. Jednak wszystko dobrze się skończyło, bo kotek sam do nas przyszedł. Był malutki i słodziutki. Praktycznie od razu nam zaufał, dzięki czemu godzinami bawiłyśmy się z siostrami z nim. Ponieważ był bardzo malutki, nazwaliśmy go, albo raczej ją, Mini. Trochę od jej wielkości, a częściowo przez bajkę, którą

w dzieciństwie oglądałam - „Myszkę Miki”. Po jakimś tygodniu mogłyśmy brać go bez przeszkód na ręce i wsłuchiwać się w bicie jej serduszka. Jednak zbliżał się powoli 1 września, powrót do szkoły. Nasze kochane kotki musiały zostać same. Na początku chcieliśmy je zabrać ze sobą do Warszawy, ale nie powinno się zabierać ich daleko od domu, więc zostali tu z porcją jedzenia co najmniej na kilka dni, aby o nas nie zapomnieli.

Kiedy przyjechaliśmy do nich kilka tygodni później, został już tylko Rockefeller. Mini gdzieś zniknęła. W międzyczasie okazało się, że Lilia została potrącona przez samochód. Moim młodszym siostróm na początku o tym nie mówiliśmy, uznaliśmy, że nie muszą o tym wiedzieć. Oficjalnie Lilia po prostu nie przyszła. Jednak znowu trzeba było wracać do stolicy. Tym razem na dłużej.

Następna możliwość wyjazdu pojawiła się dopiero parę tygodni później, kiedy był już koniec listopada. Kiedy przyjechaliśmy, nie było już żadnego kota. Nie wiadomo było co prawda, co stało się ze Zdzisiem i Mini, ale smutno było patrzeć na podwórko bez żadnych kotków. Na szczęście niedługo później pojawił się inny kot. Przypominał trochę Rockefellera, ale brakowało mu bielutkiego krawacika. Jako że przypominał mojej mamie wyglądem i zachowaniem zwierzaka z bajki „Siedem życzeń”, dostał na imię Rademenes. Powoli zacieśniały się więzy między nami. Jest kotem bardzo wiernym. Pewnego dnia, kiedy spadł śnieg i zjeżdżaliśmy na sankach z górki, przypadkowo się wywróciłam. Dodam, że zasy były niebagatelne – prawie metrowe.

Aaaaaaaa! - krzyczałam na całe gardło, bo się wystraszyłam.

Co prawda nic mi się nie stało, zwykła wywrotka, ale Rademenes natychmiast przybiegł mi z pomocą. Prawdopodobnie nie mógłby mi pomóc, ale przecież liczą się chęci! Biegł przez te zasy, skacząc, ile sił miał w nogach.

Na początku 2021 roku spotkała nas niesamowicie radosna niespodzianka. Otóż przyszła do nas Mini. Mini nie była już taka „mini”. Była starsza i większa. Zasmuciło nas jednak to, że jedna jej łapka była chora i cały czas kulą. Dodatkowo się nas bała, uciekała, kiedy podchodziliśmy, o głaskaniu nie było najmniejszej mowy. Rodzice uznali, że ktoś musiał ją skrzywdzić. Postanowiliśmy o nią zadbać, lecz trzeba było pamiętać o ZROZUMIENIU. Musi upłynąć CZAS, zanim Mini zdobędzie do nas zaufanie, szczególnie biorąc pod uwagę wydarzenia, jakie mogły jej się w przeszłości przytrafić. Mimo, że wiele razy było to trudne, a nawet rozdzierające, nie mogliśmy robić nic na siłę. Inaczej kotka bałaby się jeszcze bardziej, a nic dobrego by z tego nie wyszło. Powoli, okazując w stosunku do niej zrozumienie, kotka coraz bardziej nam ufała. Dzięki temu, że nie pospieszaliśmy jej, udało nam się ją do siebie ponownie przekonać. Odnieśliśmy sukces! Wszyscy! Mini zyskała nas, a my odzyskaliśmy ją!

Z tej przygody wyciągnęłam wniosek, jak ważne dla człowieka jest obcowanie ze zwierzętami i jak człowiek potrzebny jest zwierzętom. Wzajemna symbioza, zauważenie w braciach mniejszych istoty słabszej, której czasami trzeba pomóc, a innym razem sprawić, aby czuła się potrzebna, ale przede

wszystkim należy poznać naturę każdego zwierzaka, starać się go zrozumieć i nie próbować go zmieniać na siłę.

Wiktoria Kaczor

Szkoła Podstawowa nr 350 im. Armii Krajowej w Warszawie

Na temat „Zrozumieć drugą istotę” w kontekście zwierząt można by opowiadać godzinami, dlatego, zastanawiając się nad tematem tej pracy, nie byłam w stanie wybrać jednej historii. Wtedy do głowy wpadł mi pomysł. Postanowiłam napisać zbiór czterech krótkich opowiadań z mojego życia, które przedstawiam poniżej.

1. Strzyżyk

Był piękny kwietniowy poranek, a ja spacerowałam z babcią po lesie. Wokół nas zieleniły się młode liście drzew, pod stopami kwitły przylaszczki, a nad głowami świeciło słońce. Nagle, przed nami pojawił się malutki ptaszek, który po chwili wylądował. Był brązowoszary i miał zawiadziacko zadarty do góry ogonek. Zdziwiło mnie jego zachowanie, ponieważ, zamiast przed nami uciekać, podskakiwał zbliżając się do nas. Dodatkowo cały czas popiskiwał lub świergotał. Zatrzymałyśmy się, żeby go nie spłoszyć, a on przeleciał obok nas i skierował się w stronę, z której przyszłyśmy. Po kilku metrach zatrzymał się i odwrócił do nas, spoglądając jakby chciał powiedzieć: „Chodźcie za mną”. Podążyłyśmy za nim, a on prowadził nas przez pewien czas, przeskakując z krzaczka na krzaczek. Nie minęła chwila, gdy zniknął w gęstwinie. Po drodze zastanawiałam się nad nietypowym zachowaniem ptaszka i postanowiłam zapytać o to tatę, który interesuje się ornitologią. Po powrocie do domu natychmiast zwróciłam się do niego z pytaniem. Odpowiedział, że był to jeden z najmniejszych ptaków w Polsce - zwykle bardzo strachliwy strzyżyk. Miał on w pobliżu gniazdo i robił co w jego mocy, aby nas od niego odciągnąć i obronić rodzinę, gdyż wziął nas za drapieżników. Dzięki tacie zrozumiałam, co mały lotnik chciał osiągnąć, a jego działania przestały być tak tajemnicze.

2. Kot

W domu moich dziadków od zawsze mieszkaly jakieś zwierzęta. Kiedy byłam małą dziewczynką, domownikiem był kot o imieniu Trutik. Babcia pozwalała mu wychodzić na dwór, kiedy tylko chciał. Zazwyczaj chętnie korzystał z tej możliwości i zniknął czasem na całe dni. Zdarzało się, że nie byliśmy w stanie zatrzymać go na pięć minut w domu. Bywały jednak dni, w które nie chciał wyjść z domu i najchętniej spał na kanapie. Nie mogłam zrozumieć, skąd u niego takie zachowanie, lecz po pewnym czasie zauważyłam prawidłowość. Kiedy na dworze panowała brzydka pogoda, zostawał w domu, a kiedy świeciło słońce, czmychał na świeże powietrze. Przy wyjątkowo ulewnych deszczach często patrzył na nas, kiedy wychodziliśmy, tak jakby zastanawiał się, co nas podkusiło, żeby wychodzić przy tak niesprzyjających warunkach pogodowych. Ale skąd wiedział, jaka aura panuje na zewnątrz? Podejrzewam, że używał do tego węchu, ale nie mam pewności. Chyba miał po prostu taki szósty zmysł.

3. Konie

Od najmłodszych lat uwielbiałam jeździć konno. Na początku były to przejażdżki po lesie z asekurującym mnie tatą i prowadzącą konia mamą. Zmieniło się, dopiero kiedy w czwartej klasie szkoły podstawowej zdecydowałam się pojechać z koleżankami na obóz konny. Nie mogłam się doczekać pierwszych zajęć! Niestety mój entuzjazm osłabł, kiedy podczas siodłania mój wierzchowiec próbował mnie ugryźć. Po pewnym czasie z pomocą bardziej doświadczonych obozowiczów mój koń był gotowy, a mnie udało się uniknąć obrażeń. Na placu po chwili zjawiła się instruktorka i wyruszyliśmy w teren. Na początku wszystko było w porządku - konie grzeczne, a jeźdźcy szczęśliwi. Niestety nic nie trwa wiecznie. Wracając, przejeżdżaliśmy przez łąkę, na której klacz mojej koleżanki postanowiła wszystkich wyprzedzić, co dla jego dżokejki skończyło się twardym lądowaniem na ziemi. Wyjazd nie należał do udanych, gdyż nie było dnia, kiedy ktoś nie został zrzucony lub ugryziony przez jednego z wierzchowców. Zastanawiało mnie zachowanie zwierząt, ponieważ była to pierwsza stajnia, w której spotkała mnie taka sytuacja. Nie znalazłam uzasadnienia aż do przyszłych wakacji, kiedy pojechałam do zupełnie innej stadniny. Tam konie były bardzo łagodne i nigdy nie wykazywały się agresją, chociaż był wyjątek - Ciastek. Pomimo dobrze kojarzącego się imienia, był jedynym ogierem, który próbował gryźć jeźdźców. Koleżanki wyjaśniły mi, że został zabrany ze stajni, w której nie miał najlepszych warunków i jeszcze nie do końca nauczył się manier. Wtedy zrozumiałam, że zwierzęta na moim pierwszym obozie zachowywały się tak, ponieważ nie były szczęśliwe. Całymi dniami stały w ciasnej stajni, a podczas jazd przez złe metody nauki jazdy, nierzadko były ciągnięte za pysk lub miały obite plecy. Z kolei w drugiej stadninie wierzchowce mogły swobodnie biegać po dużych padokach, a ujeżdżano je tak, aby zadowoleni byli zarówno dżokej, jak i rumak.

4. Wilki

Wilki to zwierzęta, które kojarzą nam się ze złem. Występują w bajkach takich jak „Czerwony kapturek”, w których ich zabicie równa się pokonaniu złooczyńcy i ogólnemu szczęściu pozostałych bohaterów. Podobne podejście mieli sąsiedzi moich dziadków, kiedy w pobliżu ich wsi pojawiły się te zwierzęta. Na początku w nocy było słyhać ich wycie. Później podczas spaceru dziadek zauważył odciski łap na śniegu. Do takich sytuacji dochodziło coraz częściej. Jeden z mieszkańców opowiadał nawet, że kiedy szedł przez las i prószył śnieg, cały czas przed nim pojawiały się tropy, które nie były zupełnie zasypane, tak jakby wilk szedł tuż przed nim. Na wieś padł błądy strach. Ludzie bali się chodzić do lasu, bardziej pilnowali zwierząt - zarówno domowych, jak i hodowlanych. Rodzice zaczęli nawet zabraniać dzieciom samym wychodzić poza obszar wsi. Wówczas pojawił się pomysł zastrzelenia wilków, który stopniowo popierała coraz większa liczba osób. Zwrócono się z tą prośbą do leśniczego, który postanowił przemyśleć sprawę. Ja, choć nie zgadzałam się z sposobem rozwiązania problemu, sama bałam się tych zwierząt. Niesłuszność moich obaw zrozumiałam dopiero podczas festiwalu „Wizje natury”. Jeden z wykładów prowadziła pani profesor, która opowiadała właśnie o wilkach.

Opowiadała o tym, jak niesprawiedliwy jest człowiek wobec tych zwierząt, ponieważ są one całkiem podobne do nas. Żyją w rodzinach, których członkowie troszczą się o siebie nawzajem. Dodatkowo bardzo boją się ludzi, więc zazwyczaj w ogóle nie podchodzą do ich siedzib. Dzięki jej wykładowi przestałam się bać i zrozumiałam, że wcale nie było czego. Natomiast leśniczy uspokoił mieszkańców wsi, którzy z biegiem czasu sami przekonali się, że życie w zgodzie z tymi zwierzętami jest możliwe.

Zwierzęta myślą, czują i choć nie potrafią mówić, mimo to komunikują się z nami. My musimy tylko potrafić zrozumieć, co chcą nam przekazać. Jeśli się to nam uda, znajdziemy w nich prawdziwych przyjaciół i odkryjemy, jakie są niezwykle.

Wiktoria Hulewicz

Spółeczna Szkoła Podstawowa STO nr 10 im. kard. Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Jako mała dziewczynka uwielbiałam zwierzęta. W każdym możliwym momencie podbiegałam do nich, aby je przytulić czy pogłaskać. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że nie wszystkie to akceptują. Największą sympatią darzyłam pieski. Nie można mnie było upilnować, ponieważ zawsze na spacerze spotkałam czworonoga, którego mogłam poprzytulać. Jednakże przekonanie mamy do zakupu pupila nie było łatwe z bardzo prostego powodu – braku czasu. Moja mama pracowała kilkanaście godzin dziennie, zajmowała się domem, mną i moją starszą siostrą. Zdawała sobie sprawę, że zwierzę w domu to duża odpowiedzialność. Ja tego nie rozumiałam, dla mnie najważniejsze było mieć przyjaciela. Stosowałam różnego rodzaju naciski, aby tylko osiągnąć cel i sprowadzić do domu małego zwierzątko. Sądziłam wówczas, że dam sobie radę i piesek będzie szczęśliwy. Kiedy podrosłam, nastął najszczęśliwszy dzień w moim życiu, ponieważ mama zgodziła się przygarnąć małą psinę.

Przyjęcie pieska ze schroniska nie było łatwą decyzją. Zależało nam przede wszystkim na tym, aby nowy towarzysz był niewielkich rozmiarów i mógł z nami podróżować. Udało się nam wybrać kundelka, jasnożółtej maści z oklapniętymi uszami, który bardzo się cieszył na nasz widok. Prawdopodobnie miał wtedy około sześciu miesięcy. Wabił się Coli. Moja euforia z powodu posiadania pieska nie trwała jednak długo. Nowy domownik nie rozumiał moich intencji, psocił, nie chciał się słuchać, szczekał na obcych, a nawet uciekał. Wtedy zauważyłam, że przede mną mnóstwo pracy, aby go wychować. Przed decyzją o adopcji zwierzątka obiecałam mamie, że większość obowiązków związanych z pieskiem będzie po mojej stronie. Nie mogłam zawieść jej zaufania. W tamtym czasie postanowiłam dowiedzieć się jak najwięcej o wychowaniu trudnych i adoptowanych psów. Kupowałam książki, czytałam informacje na forach internetowych oraz przeglądałam strony hodowców psów. Niestety nie potrafiłam sobie poradzić z moim nowym przyjacielem. Coli nie rozumiał moich komend i robił wszystko odwrotnie. Takie zachowanie pupila powodowało moją frustrację. Potrafił uprzeć się na

spacerze i położyć na ścieżce, a następnie nie chciał dać się przekonać do powrotu do domu. Często musiałam go brać na ręce i nieść kilka kilometrów do naszego miejsca zamieszkania. Po powrocie byłam tak zmęczona, że nie miałam siły i ochoty na dalsze szkolenie czy zabawy. Trzeba jednak zauważyć, że trenowanie było wymyślone przeze mnie na podstawie dostępnych informacji oraz wypowiedzi innych osób. Pewnego razu podczas spaceru Coli zerwał się ze smyczy i uciekł. Byłam przerażona i nie wiedziałam, gdzie go szukać. Na szczęście po wielu godzinach udało mi się go odnaleźć. Pomogła mi w tym sąsiadka, która spacerowała po okolicy ze swoim czworonogiem. Coli był zmęczony, brudny i nie miał siły wracać. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza, więc postanowiłam za namową mamy skorzystać z porad psiego behawiorysty. Wtedy nastąpił przełom. Oczywiście małymi krokami, przy pomocy specjalisty udawało mi się zrozumieć postępowanie mojego przyjaciela, ale także nauczyć go ważnych rzeczy. Dzięki tym spotkaniom nasze relacje się poprawiły, a ja nie wpadałam już w złość. Na konsultacje do behawiorysty z Coli chodziłam początkowo jeden raz w tygodniu. Pomógł mi on ułożyć relacje z przyjacielem, wyeliminować jego złe zachowania i stworzyć komfortowe warunki dla obu stron. Zanim behawiorysta zaproponował mi odpowiednie działania, przeprowadził bardzo szczegółowy wywiad oraz obserwował nasze zabawy. Informacja, że Coli został wzięty ze schroniska, okazała się kluczowa. Luka w życiorysie pieska miała też duże znaczenie dla ułożenia terapii. Trudno było ocenić, jakie przeżycia towarzyszyły Coli w schronisku. Specjalista wytłumaczył mi wiele kwestii związanych z potrzebą akceptacji zwierząt, motywacją oraz dokładnie opisał cały proces nauki. Akceptacja drugiej strony, czyli mojego ukochanego Coli, była bardzo ważna. Musiałam zrozumieć, że jest zwierzątkiem, które ma swoje potrzeby i muszę je zaspokoić. Ponadto piesek to nie zabawka, tylko istota, która wymaga opieki, zabawy, pielęgnacji i też miewa gorsze dni. W tamtym momencie poczułam się bardzo dorosła i odpowiedzialna.

Zrozumiałam także, dlaczego mój piesek ucieka i jak temu zaradzić. Przede wszystkim był jeszcze szczeniakiem, który miał potrzebę biegania po okolicy i węszenia. Mimo że nie był rasowy, wszystko wskazywało na to, że ma instynkt łowiecki i potrzebuje dwóch dłuższych spacerów w ciągu jednego dnia. To wymagało ode mnie zmiany całego kalendarza, aby zapewnić odpowiednie warunki do szkolenia Coli. Zakupiłam też przysmaki, którymi nagradzałam go za dobre zachowanie oraz wykonane zadania czy komendy. Nauczyłam się, kiedy należy głaskać za wykonanie polecenia. Zaakceptowałam jego chęć biegania po wodzie, strumykach i błocie. Oczywiście wymagało to ode mnie więcej pracy związanej z myciem i czyszczeniem go po takich spacerach. Szkolenie i utrwalanie odpowiednich nawyków trwało bardzo długo. Czasami miałam wątpliwości, czy sobie poradzę, gdyż chodziłam do szkoły i miałam bardzo dużo lekcji. Nie poddałam się. W trudniejszych momentach wspierał mnie behawiorysta i mama. Problem z uciekaniem lub niereagowaniem na wołanie został wyeliminowany.

Drugi ważny problem związany z nadmiernym reagowaniem Coli na hałas również został rozwiązany przy wsparciu specjalisty. Piesek, słysząc krzyki z oddali czy nawet dźwięk dzwonka rowerowego, zrywał się często ze smyczy i uciekał lub szedł głośno i podskakiwał nerwowo. Sytuacja ta mnie bardzo stresowała, gdy nie wiedziałam, jak temu zaradzić. Behawiorysta kazał mi unikać spacerów po głośniejszej okolicy, szczególnie na początku terapii, oraz włączać telewizję i radio w określonych godzinach w domu, aby Coli przyzwyczył się do różnych odgłosów. To okazało się bardzo pomocne, ale wymagało sporo czasu.

Posiadanie pieska to duże wyzwanie, które wymaga cierpliwości, zaangażowania i sporo wolnego czasu. Przede wszystkim nauczyło mnie odpowiedzialności, akceptacji pewnych przyzwyczajęń Coli oraz dobrego zarządzania czasem. Na początku nie wiedziałam, ile czasu potrzeba, aby stworzyć odpowiednie warunki dla pupila, nauczyć go reagować na podstawowe komendy oraz zapewnić komfort i bezpieczeństwo. Długa droga, którą razem przeszliśmy, uświadomiła mi, że przyjaźń, która się między nami nawiązała, wymagała dużych poświęceń i zrozumienia tej małej istoty. Aprobata pewnych postaw czworonoga, które były silnie związane z jego naturą, okazała się kluczowa dla ułożenia dobrych relacji. Nawet jeśli wykazanie wyrozumiałości w stosunku do Coli oznaczało dla mnie dodatkową pracę, jak powtórna kąpiel pieska po spacerze, uważam, że warto było to zrobić.

Zofia Dąbrowska

Szkoła Podstawowa nr 203 im. Antoniny i Jana Żabińskich w Warszawie

Ja

Poruszam się nerwowo,
Nie rozumiem świata,
Drżę w jego rytmie,
Rzucam się na wszystko
I przeciw wszystkiemu
Nurzam się w falach,
Wygrzewam w promieniach świata
Pożeram go zachłannie
Jak zwierzę.

Ja-zwierzę

W lustrze rzeczywistości przyglądam się sobie:

- jem dla przyjemności
 - walczę dla przygody
 - kocham dla urozmaicenia
 - tworzę z nudów
 - niszczę dla rozrywki
- a zwierzę NIE...

Chcę być zwierzęciem!

Zofia Zdanowicz

Dwujęzyczna Szkoła Podstawowa nr 1 w Warszawie

Człowiek w pustym mieszkaniu

Umrzeć, tego się nie robi kotu. Bo co ma począć kot w pustym mieszkaniu...

Wisława Szymborska.

Ciężko jest żyć kotu w pustym mieszkaniu. Tak samo ciężko jest żyć człowiekowi bez kota, z którym się związał. Mój kot ma na imię Pusia i jest szarym brytyjczykiem krótkowłosym. Moi rodzice kupili ją tuż po przeprowadzeniu się do domu, w którym obecnie mieszkam. Było to już dziewięć lat temu. Miałam wtedy pięć lat, a moja siostra siedem. Tak naprawdę dorastałam razem z moim kotem. Pamiętam, jak Pusia była na tyle mała, że mieściła się na moich dłoniach. Teraz jest już tak duża, że sprawia mi problem podniesienie jej dwiema rękami. Nie mam za wielu wspomnień, kiedy jeszcze nie mieliśmy Pusi. Dlatego tak trudno jest mi zrozumieć, dlaczego przez tyle lat prawie nie zwracałam na nią uwagi. Oczywiście od czasu do czasu ją głaskałam i przytulałam. Czyściłam jej też kuwetę i dawałam jej jedzenie i picie, ponieważ były to moje obowiązki. Niestety sama z siebie nie spędzałam z nią czasu. Zmieniło się to około rok temu, kiedy zauważyłam, że Pusia dziwnie oddycha. Na początku myślałam, że po prostu zjadała coś dziwnego. Trwało to przez kolejne dwa dni i moja mama zdecydowała, że pojedziemy z nią do weterynarza. Okazało się, że jest o wiele gorzej niż myśleliśmy. Dowiedzieliśmy się, że Pusia ma ciężką chorobę serca i dlatego nie mogła oddychać. Weterynarz powiedział nam też, że jest duża szansa, że Pusia niedługo umrze. Pamiętam, że po usłyszeniu tej wiadomości przez wiele dni płakałam. W naszym domu wszyscy byli smutni i zauważyłam też, że wszyscy teraz zwracają szczególną uwagę na kota. Zrobiło mi się wtedy trochę smutno z tego powodu. Zobaczyłam, że dopiero po wiadomości, że Pusia może już nie być z nami, wszyscy zaczęli poświęcać jej swój czas. Mogliśmy robić to przecież o wiele wcześniej. Wszyscy mieli nadzieję, że Pusi uda się jeszcze trochę z nami pobyc. Teraz już od paru miesięcy bierze leki, które trzymają ją przy życiu. Na początku nie chciała ich jeść i moja mama próbowała znaleźć jakiś sposób, żeby zaczęła. Było to trudne, ponieważ Pusia nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest chora, i nie wie, dlaczego ma jeść te obrzydliwe pastylki. Teraz je leki z paszтетem, który bardzo jej smakuje. Od początku jej choroby ja i moja siostra staramy się spędzać z Pusią jak najwięcej czasu i zawsze zwracać na nią uwagę, jak czegoś potrzebuje. Teraz jest o wiele łatwiej, ponieważ na lekcjach zdalnych cały czas jestem w domu, a ona często do mnie przychodzi i kładzie mi się na łóżku. Pusia zawsze była jednym z najprzyjaźniejszych zwierząt, jakie znam. Zawsze wita się ze wszystkimi, którzy przychodzą do nas do domu, a jak coś się jej nie podoba, to zaczyna ostrzegawczo miauczeć. Jeszcze nie było takiego przypadku, żeby Pusia kogoś podrapała. Od razu widać, że bardzo nam ufa, ponieważ wie, że nikt z naszej rodziny nie zrobiłby jej krzywdy. Zachowuje się jak kolejny członek rodziny. Rano do nas przychodzi i nas budzi, a czasami nawet wchodzi do łóżka. Gdy jemy obiad i śniadanie, to je swoją karmę. Gdy oglądamy film, zawsze siedzi z nami na kanapie. Jak wracam ze szkoły zawsze kładzie się na środku podłogi i każe się

głaskać. Pusia lubi być w centrum uwagi, więc zawsze z nami jest, nawet jak nie zdajemy sobie z tego sprawy. Nauczyła się nawet reagować na swoje imię, co nie jest bardzo częstą cechą u kotów. Kiedy wołamy ją, a ona jest na drugim końcu domu, to szybko do nas przybiega. Naprawdę trudno byłoby mi się z nią rozstać. Reszcie mojej rodziny na pewno też. Smutno było nawet wielu z moim znajomym, kiedy dowiedzieli się o chorobie Pusi. Wielu z nich też ją bardzo lubiło i zawsze, jak któryś z nich do mnie przychodził, to spędzał dużą ilość czasu bawiąc się z Pusią. Moja kotka jest jedną z najinteligentniejszych i najmiłszych istot. Wiem jednak, że kiedyś umrze, może nawet nie z powodu swojej choroby. Koty mają o wiele krótsze życie od ludzi. Mam jednak nadzieję, że będzie z nami jak najdłużej i że spędzę z nią jeszcze dużo fajnych chwil. Bardzo trudno jest stracić bliską ci osobę i tak samo trudno jest stracić bliską ci istotę, jaką jest kot, szczególnie jak ta istota wiele dla ciebie znaczy. Pusia jest po prostu wielką częścią dzieciństwa mojego i mojej siostry oraz życia moich rodziców i mamy z nią mnóstwo miłych wspomnień. Żle się czuję z tym i jest mi przykro, że dopiero teraz zaczęłam zwracać na to uwagę. Nie wyobrażam sobie mieć innego kota niż ona. Pusia jest po prostu niezastąpiona. Mam wielką nadzieję, że jeszcze długo z nami będzie, a jak nie, to na pewno nigdy jej nie zapomnę.

Zofia Przybysz

Szkoła Podstawowa nr 340 im. prof. Bogusława Molskiego w Warszawie
Pokochoć barana

To był zwyczajny wiosenny dzień. Zosia wybiegła z domu na przedpołudniowy spacer do ogrodu. Oglądała kwitnące wiśnie i zieleniącą się trawę. Na sąsiednim polu jeździł pan Zbyszek i siał pszenicę. Dziewczynka odczekała, aż zrobi sobie przerwę, i podbiegła do niego radośnie. Wdała się w miłą pogawędkę ze starszym panem.

- Dzień dobry panie Zbyszku – przywitała się spontanicznie Zosia.

- Cześć Zosiu! Wiesz, co mi się przydarzyło tydzień temu?

- Co takiego? – zapytała rezolutna dziewczynka.

- Gdy wracałem do domu – opowiadał – nagle zza krzaka wyskoczył na ulicę czarno-biały zając. Trzymał w pysku swoje młode i widocznie mnie nie zauważył – kontynuował rozmówca.

- O nie, czy coś mu się stało? – zaniepokoiła się mała sąsiadka.

- Na szczęście zdążyłem wyhamować – uspokoił ją towarzysz rozmowy.

- Wróciłem do domu i prawie zapomniałem o tym, co mi się przytrafiło – powiedział – ale już następnego ranka znów zobaczyłem tego zająca, a tuż obok mojego ciągnika firmy *New Holand* leżała nadgryziona marchewka.

- Skąd ta marchewka? – zapytała podekscytowana opowieścią trzynastoletka.

- No właśnie, to było takie dziwne – zakończył pan Zbyszek – bo doszedłem do wniosku, że to zając zostawił tę karotkę.

- Też bym tak chciała! – wykrzyknęła ze śmiechem nastolatka.

Następnie pożegnała się z panem Zbyszkiem i wróciła do domu na obiad. Reszta dnia upłynęła jej na odrabianiu lekcji, bieganiu po ogrodzie

i zabawie.

Trzy miesiące później zaczęły się wakacje. Zosia wraz z rodzicami i młodszą siostrą Hanią wybrała się na przejażdżkę rowerami do pobliskiego lasu. Po dwóch godzinach jazdy uczestnicy planowali powrót, gdy nagle Jędrasiówna zauważyła dwa małe zające, które najwyraźniej czegoś szukały. Dziewczynka powiedziała rodzicom, że za chwilę wróci, i pobięła zobaczyć, co się wydarzyło.

Okazało się, że matka młodych jest przygnieciona złamanym przez wiatr drzewkiem. Siostra Hani uwolniła matkę zajączków z potrasku i stwierdziła, że pasuje do niej imię Łacia, bo była cała w łatki. Potem szybko pobięła do opiekunów i zapytała, czy nie mogłaby przygarnąć maleństwa.

Dorośli wyglądali na zdziwionych i zapytali:

- Jakich zajączków?

- Takich małych i jednego większego – powiedziała pewnie Zosia.

Państwo Jędrasowie stwierdzili, że się zastanowią, i zaczęli szykować się do domu. Zosia posmutniała, bo wiedziała, że jeśli rodzice mówią, że się zastanowią, to prawdopodobnie nie wyrażą zgody.

Po południu dziewczynka udała się potajemnie do lasu. Osłabiona Łacia z dziećmi leżała w tym samym miejscu co poprzedniego dnia. Dziewczynka wzięła ostrożnie zwierzęcą rodzinę i wsadziła ją do przygotowanego koszyka na kierownicy i pojechała do domu. Wjechała szybko przez bramę na końcu ogrodu i zrobiła króliczkom przytulną chatkę, w której mogłyby mieszkać tak, by rodzice się nie zorientowali. Przyniosła im też marchewki i dużo sianka od sąsiada. Nagle przypomniała sobie historię, którą opowiedział jej pan Zbyszek kilka miesięcy wcześniej. Dziewczynka postanowiła poprosić go o pomoc z zajączkami.

Mieszkaniec gospodarstwa się zgodził, a gdy zobaczył Łacię, rzekł:

- Zosiu, ale to chyba ten sam zwierzak, którego omal nie rozjechałem wiosną.

Chwilę później zabrał wszystkie zajączki do pobliskiej kliniki weterynaryjnej. Weterynarz był bardzo miły i wyjaśnił Zosi, że Łacia nie jest zającem, tylko prawdopodobnie zostawionym przez kogoś na pastwę losu królikiem domowym rasy *baran francuski*. Powiedział też, że matka będzie musiała przez najbliższy miesiąc odpoczywać i trzeba się będzie zająć królikami, bo same sobie nie poradzą na wolności. Nastolatka postanowiła, że zaopiekuje się zwierzątkami, a rodzicom powie o wszystkim za tydzień.

Rodzice dziewczynki nie byli zachwyceni tym, że stali się posiadaczami trzech królików, ale przyznali, że skoro córka tak dobrze opiekowała się nimi przez cały tydzień, to z pewnością poradzi sobie później. Siostra Zosi, Hania, była wprost zachwycona nowymi lokatorami. Od tego dnia króliczki dołączyły do członków rodziny Jędrasów i zostały przeniesione z ogródka do domu. Dziadek dziewczynek zrobił wybieg dla Łaci i jej dzieci tuż obok tarasu.

Pierwszy problem pojawił się, gdy rodzina Zosi miała wyjechać nad morze, gdzie nie mogła zabrać milusińskich. Wtedy okazało się, że dobrze mieć miłego sąsiada, który bez problemu zgodził się zaopiekować zwierzętami.

Oczywiście tą osobą był pan Zbyszek, który bardzo polubił puchate zwierzątka. Łacia już radośnie kicała i rodzina bez obaw wyjechała na zaplanowane wcześniej wakacje.

Po powrocie okazało się, że rodzinę Jędrasów czeka kolejna niespodzianka, bo w zagrodzie liczba królików wzrosła do czterech – były tam dwa dorosłe i dwa małe króliki. Pierwsza odezwała się Hania:

- A może to jest ich tata?

W tym samym momencie nadszedł pan Zbyszek i oznajmił:

- Chyba pojawił się u was ojciec małuchów.

Domownicy wybuchnęli śmiechem, a sąsiad dodał, że królik zadomowił się dwa dni wcześniej i odtąd nie wychodził. Rodzina uznała, że nie ma wyboru i musi przygarnąć jeszcze jednego królika.

Pomimo początkowych obaw wszyscy świetnie się bawili z króliczkami. Pan Zbyszek dostarczał siano ze swojej stodoły, a dziadkowie jedzenie ze swojego ogródka. Króliczki były bardzo pocieszne i wesołe. Często podsukywały gości po łydkach lub rozkładały się na podłodze, czekając na głaskanie. Pod koniec wakacji rodzina Jędrasów urządziła piknik na działce przed domem. Łacia i Gruby (potężny tata króliczków) oraz dwójka ich dzieci: Beniu i Zdzisia stali się największą atrakcją wieczoru. Ktokolwiek zobaczył te „barany francuskie”, to chciał je głaskać w nieskończoność

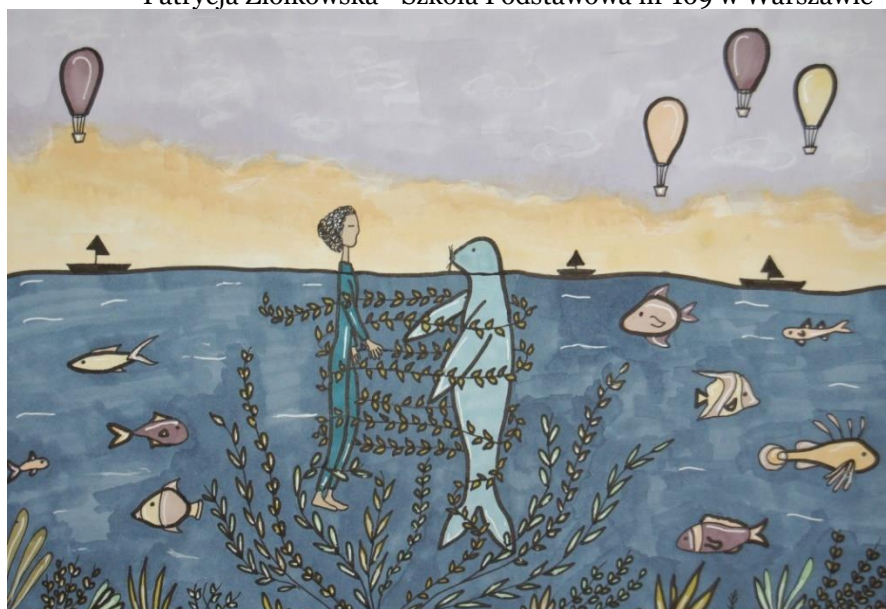


I miejsce
Dominika Szczygiel – Szkoła Podstawowa nr 356 w Warszawie



I miejsce

Patrycja Ziółkowska - Szkoła Podstawowa nr 169 w Warszawie



II miejsce *W harmonii z naturą*

Barbara Przybysz - Społeczna Szkoła Podstawowa nr 16 STO w Warszawie



II miejsce
Gabriela Ogonowska – Szkoła Podstawowa nr 48 w Warszawie



III miejsce

Karolina Sójka – Szkoła Podstawowa nr 169 w Warszawie



III miejsce *Symbioza*

Franciszek Czerwiński – Szkoła Podstawowa nr 163 w Warszawie



III miejsce

Alicja Siutkowska - Szkoła Podstawowa nr 48 w Warszawie



Wyróżnienie *W głębi duszy kota*

Aleksandra Bielak – Szkoła Podstawowa nr 169 w Warszawie



Wyróżnienie
Alicja Skobel – Szkoła Podstawowa nr 48 w Warszawie

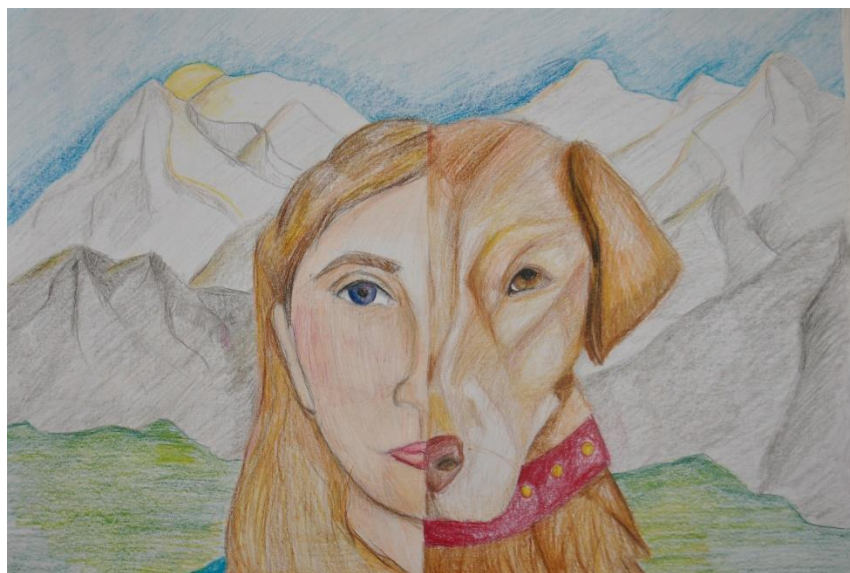


Wyróżnienie
Sandra Rudnicka – Szkoła Podstawowa nr 48 w Warszawie



Wyróżnienie

Oliwia Wojtowicz – Szkoła Podstawowa nr 195 w Warszawie



Jagoda Ziółkowska - Szkoła Podstawowa nr 307 w Warszawie



Roksana Butor -Szkoła Podstawowa nr 169 w Warszawie



Aleksandra Kopeć – Szkoła Podstawowa nr 80 w Warszawie



Lena Fabiszewicz –
Szkoła Podstawowa nr 356 w
Warszawie



Agnieszka Kozarenko - Nowakowska -
Szkoła Podstawowa nr 48 w Warszawie